

KUŹNICA

Rok IV

Łódź, 9 maja 1948 r.

Nr 19 (140)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

BOLESŁAW PRUS

Nieznane listy do narzeczonej *)

KIEDY dn. 3.X.1944 r. po ostatecznym upadku powstania wychodziłam z Żoliborza do Pruszkowa kureczko-wo ścisłałam w ręce ręczną torbę, w której mieściło się całe moje mienie z najcenniejszym skarbem pozostawionym mi przez p. Oktawie Prusową. Były to autentyczne listy Prusa do narzeczonej i żony. Nie wiedziałam, nawet wówczas czy mam je wszystkie. Za ślicznej mahoniowej skrytki mego biurka pozostały żalozne drzazgi, miska, brązowa weneckiej roboty okładka w której od lat wielu przechowywała te listy pani Głowacka wielokrotnie wędrowała do węglarki w której spędzałam dni powstania, listy kryłam pod stosem węgla uważając tę skrytkę za najbezpieczniejsze schronienie. W ostatniej chwili nie było mowy o sprawdzaniu zawartości. Poczułam okładka ocalała cienkie pozółtkie drobnym piśmem zapisane kartki od zagłady! Gdy wreszcie w listopadzie spod gruzów wygrzebałam notatki i prace o Prusie, zaczęłam jeszcze przed wojną, postanowiłam niedoświadczalnie wydać listy, które posiadam i które były tematem rozmów prowadzonych przez długie miesiące i lata z p. Oktawią w szczęśliwym naszym mieszkaniu przy ul. Żorawiej 8/6. Mieszkaliśmy w pokoju Prusa, pracowałam przy jego skromnym debowym biurku przez lat 6, patrzyłam na piękny portret zdobiony stałe kwiatami z którego Prus zdawał się uśmiechać jak żył i jak przebaczać.

Oddając mi listy p. Prusowa powiedziała: „Zrób z tym, po mojej śmierci, co będziesz uważała za stosowne”. Zdaje mi się, że byłaby zadowolona widząc, że czyta je będzie dziś zarówno miłośnik Prusa, którego nie znalazł autor „Faraona” jak i młodzież w świetlicy czy robotnik odpoczywający w niedzielę i święto. Bo Prus stał się ulubioną lekturą.

Nie wiele wiemy o jego zmaganiach w młodości — nie wiele o pierwszych uczuciach Prusa. Jak nań patrzyli najbliżsi? Jak rysuje się dziś w naszych oczach jego osobowość? Czyśmy nie zniekształcili rzeczywistości? Sprawdzić będziemy mogli obując bezpośrednio ze słowem autora. Drukowane poniżej listy do narzeczonej uchyla rąbek życia pana Aleksandra, młodzieńca mało jeszcze znanego ówczesnej Warszawie, startującego dopiero w redakcjach „Kurier” czy „Opiekuna Domowego”. Trudna to była droga — ale przyszły inżynier czy matematyk nie martwił się szczupłością materialnego zarobku — walczył o należne miejsce, gruntował swą pozycję literacką i szturmował zdobywał... serce ślicznej panny Oktawii Trembińskiej z Lublina. A było to znacznie trudniejsze niż zdobycie pierwszych literackich wawrzynów. Bo panna Oktawia, o której rękę starał się przyszły student politechniki nie sama miała prawo zdecydować w tak ważnej sprawie jak wybór małżonka. Ukochana jedynaczka obwarowana powagą areopagu domowego matki, babki i ciotek bardzo była skrupolowana w swym wyborze czy raczej decyzji.

Helena Porębska

I.

DO PANNY OKTAWII.

Do kroków, jakie robiłem i robię w celu zwrócenia na siebie uwagi Pani, — z Jej strony nic i nigdy nie upoważniało mnie; po tej wzmiance przechodzę do kwestii głównej. Kilka lat temu, kiedy się, że wypadek postawił na drodze do stanowiska, pozwolił mi odnowić dawne stosunki w celu uzyskania sympatii Pani, — bo w tych tylko warunkach nie uchybiając Jej i sobie mogłbym wypowiedzieć zamiary moje. Wypadek nie przychodził, — należało go szukać i w tym celu postanowiłem wyjechać za granicę... że jednak na ukończenie Szkoły Politechnicznej potrzeba lat trzy, a w ciągu czasu tego wiele mogłoby się zmienić, — napisałem list do Ciotki, w którym otwarcie i stanowczo wypowiedziałem moje zamiary. List ten okazał się Mamie Pani dla bardzo naturalnych powodów zyskał Jej odmowę, nie zwrócił przecież nawet uwagi Pani.

Okoliczność ta powinna być dla mnie stanowczą, nie chciałem jednak w sprawie na- bardziej obchodzącej mnie decydować się za



Fragment listu Bolesława Prusa do narzeczonej

prędko. Jednocześnie wstąpiłem do Puław, aby uzyskać jakakolwiek specjalność, lecz wygnany z tamtąd już nie udało mi się w Łu- jechać za granicę. Nie wyjechałem jednak i ośmielałem się raz jeszcze przedstawić Pani moją propozycję. Nie mam oprócz przy- wiazania do Pani i chęci zdobycia niezależ- nego stanowiska; za lat trzy mam nadzieję ukończyć wydział Inżynierski (jako mechanik konstruktor), a w tym wypadku stanowisko moje byłoby zapewnione. W ciągu tego czasu Pani możecie wyjść za mąż dla dwóch powodów; albo za człowieka, który zyskał Jej sympatię, albo dla przyszłości, co nieuwa- żam za złe, — bo inaczej nie mówiłbym o tym przedmiejscu.

Trafia się, że wypadek rozdziela niepo- wrótnie ludzi, którzy nie powinni być roz- dzieleni i nie nie zyskują na tem; wypadku tego obawiam się nie ze względu na Panią (dla której mogę być obojętny a nawet wstrętny), ale ze względu na siebie. Czas uchodził prędko, a cóż powiedziałbymyś spótkawszy się, gdy między nami stanie kto trzeci? Czy nie sadzi Pani, że przywiązanie moje mieści w sobie więcej warunków szczę- ścia, niż każde inne, które tak szybko gaśnie jak szybko zapala się; a przecież w związku osób ważną stanowi kwestię natury uczuć mężczyzny.

Poważyłem się na to zwrócić uwagę Pani, nie aby chwalić się, a tem mniej filozofować, ale dla tego, że wypadek podobny, tak zwyk- ły i prosty byłby dla mnie wielkim nieszczę- ściem. Strasznie pomyśleć, że dla niewytu- maczonego niedbalstwa, albo fałszywej skro- mności z mojej strony a dla obaw o własną i rodziny przyszłość z Pani strony, oddałabys się Pani człowiekowi, który może ocenić Jej nie potrafiłby i jednym cięsem zabiłabyś dwie egzystencje; a przecież i tak się trafia.

Może mówię za śmiało, ale mamy za sobą epokę dzieciństwa, co już jeśli nie do żywej sympatii przynajmniej do zaufania daje pra- wo. Jeżeli „już za późno” — nie daj Pani o to, co piszę; nie jestem tak samolubny aby stawiać siebie nad uczuciami innych. — lecz jeżeli nie „za późno” — nie odpychaj mnie. Pomyśl Pani, że jest człowiek, któremu jed- no słowo Twoje więcej może wskazać obo- wiązków i dać sił do ich wykonania, jak wszystkie teorie na które pracowałem dotąd. Dziś nie mam stanowiska więc i praw do niczego, nie jestem wolny od błędów i może za mało dbałem o siebie, lecz wszystko jest do nabycia dla sił spotęgowanych nadzieją; ufając mi zatem może nie będziesz Pani po- trzebowała ani wstydić się za mnie, ani za- łać zaufania.

Sądję, że powiedziałem już wszystko. Gdy powody które przytoczyłem nie będą dość silne aby je uwzględnić, albo jeżeli charakter mój nie przedstawia rekojmi dostatecznych, albo jeżeli „już za późno” — zechciej Pani zwrócić mi fotografię i list z jakimkolwiek znakiem że był czytany; rekopisem przecie (którego dotąd przygotowałem tylko 2 zeszy- ty) — przyjm jako pamiątkę. Może za śmiało odczytam się w nim, ale pisać go miałem przed oczyma osobę bardzo mi droga, — czy-

taż więc Pani ten rekopisem jako moja roz- mowa z widziadłem lat dawnych i ku- jeżeli coś skorzystać można.

Łatwo Pani pojmiesz, że jakakolwiek be- dzie decyzja Jej nie zachowam żalu, ani po- ważę się po raz trzeci niepokoić Panią memi propozycjami. Jeżeli dziś piszę to dla tego tylko, aby w kwestii przyszłości swojej usu- nać działanie wypadku, a oprzeć się na po- stanowieniu samej Pani.

Jestem przekonany, że list który pisałem z zimną krwią, odczytasz Pani w podobny spo- sób i nie poddasz się chwilowemu uczuciu litości, które nie zdola wynagrodzić moich głębokich i rozważnych. Spójrzj Pani w przeszłość bliższą i dalszą i bliższej daj pier- wszeństwo, lecz nie tłum sympatii dla mnie, — jeżeli znajdziesz ją. A nadewszystko czy- taj Pani uważnie list mój, — który powinien mieć w ręku; lecz jeżeli ja z własnej woli usunąłem się od dziecka, to już kobieta nie może się usuwać nie wysłuchawszy mnie. Je- żeli powiadam, że usunąłem się, to nie znaczy aby to było na przekór uczuciom Pani, bo o tych nie wiem, ale znalazłem siebie i wie- działem, że wcześniej lub później wybuchną- bym, — a wtedy do czego doszedłbym?

W końcu przebac mi Pani wszystko co Ci z mojej strony zrobiło przykrość i ton może za szorstkiego listu; ja nie chcę uchybić ani niepokoić Panią, a tak trudno hamować się wobec straty nadziei. Jeszcze słowo. Nie de- cyduj się Pani za prędko, ale i nie zbyt po- wolni. Widzi Pani ja pięć lat waham się, może zdarzyło się Pani czekać pięć godzin, — a jak to przykro; pomyśl Pani za tem ale nie dłu- go, a jeżeli „już za późno” najlepiej nie myśl nic. Są rzeczy które człowiek musi przyjąć.

Aleksander

14/4 870

Lublin N: b: List mój niech nie nasuwa Pa- ni obawy jakiego szaleństwa z mojej strony, choćby dla tego samego, że kiedykolwiek mogę być Pani użytecz- nym.

II.

Wkrótce dwa lata upłyną od mego ostatnie- go widzenia się z Panią. Jeżeli do tej pory nie dawałem żadnej wiadomości o sobie, to nie dlatego abym zapomniał tylokrrotnie po- wtarzanych obietnic, lecz dlatego, że położe- nie w jakim znajdowałem się, dotychczas nie pozwalało mi pisać do Pani. Byłem bez zajęć, bez stosunków, niepewny jutra, o czemże więc mogłbym donieść Pani podów- czas? O tem chyba, że nie widzę dla siebie żadnego punktu wyjścia, i że albo nie mam ściśle określonego planu, albo że brakuje mi sił do wykonania jego. I dziś jeszcze, choć osobisty był mój jest zabezpieczonym do pe- wnego stopnia i rozszerzyło się znacznie do- tąd kółko moich znajomości, wahałem się, czy mogę pisać do Pani. Sądję jednak, że dłuższe milczenie byłoby już nie dającym się usprawiedliwić dziwactwem; jeżeli bowiem obcy i obojętni sobie ludzie porozumiewają się i łączą, aby wspierać się sercem i rozu-

Gdzie rozum stanąć może w obro- nie prawdy, tam kuglarstwa fałszy- wej nauki i kłamstwa namiętności. ani góry brać, ani długo przewo- dzić nie potrafią.

Jan Śniadecki

TREŚĆ NUMERU:

- BOLESŁAW PRUS —
NIEZNANE LISTY
DO NARZECZONEJ
- PAWEŁ HERTZ —
PODRÓŻ NA WSCHÓD
- PAUL ELUARD —
WIERŚ —
- ANNA JAKUBISZYN —
STENDHAL W DZIEJACH
TEATRU
- LUCJAN RUDNICKI —
NIENAWIŚĆ KLASOWA
- ANDRZEJ STAWAR —
O LUCJANIE RUDNICKIM
- ADS —
PIĘKNY PLAN WYDAWNICZY
- IERZY MILLER —
WISŁOSTRADA —
- JAN PIERZCHAŁA —
BĘDKOWICE, WIEŚ POLSKA
- JAN KOTT —
„OTELLO” W ŁODZI
- JULIUSZ ŻULAWSKI —
NA SCENACH TEATRÓW
ŁÓDZKICH
- KRONIKA RADZIECKA
- PRZEGLĄD PRASY
- NOTY

mem, dla czegoż więc i ja nie mogłbym choć w imię ogólnego braterstwa odwołać się do Pani — przebac ja z jednej strony o rady i za- chęty dla siebie, z drugiej ofiarując swoje usługi, jeżeli te przydadzą się Pani — kiedykol- wick.

Do tej pory nie miałem przed kim wypo- wiadać swoich myśli i uczuć, nikt mnie w planach nie zachęcał i nie zagrzewał, — wiele też bardzo traciłem i jeszcze wskutek tego mogę utracić. Pani także jesteś osamot- niona, a o ile wiem często chora i smutna, — czy więc nie należałoby nam już zbliżyć się do siebie, poznać się wzajemnie lepiej niż dotąd i wspólnie, o ile to jest zgodnem z wolą Pani, pracować dla przyszłych re- zultatów? Wątpię, aby dotychczasowe sto- sunki moje z Panią pokrafiły obudzić w Niej sympatię dla mnie, lękać się nawet, czy nie straciłaś Pani zaufania do mnie, — my- śle jednak, że przy dobrej woli z obu stron wiele wątpliwości dałoby się rozstrzygnąć i wiele korzyści osiągnąć nawet dziś, gdy jesteśmy tak oddaleni od siebie.

Niech więc niedowierzanie, jakie w cią- gu tego czasu mogło zrodzić się w Pani, ustąpi miejsca lepszemu uczuciu. — niech obcy nie będą jedynymi pośrednikami mię- dzy nami, — niech wiem od samej Pani, co sądziś o mnie, co ci się wydaje niejasnym w moim postępowaniu i dla jakich powo- dów „nie wolno Pani myśleć o mnie” — a wtedy mam nadzieję, że potrafię się u- sprawiedliwić z możliwych zarzutów i zys- kać zaufanie Pani. Nierozumienie się wz-ajemne, różnica poglądów, nieznajomość na- wyknień i pragnień są najniebezpieczniej- szymi wrogami stosunków ludzkich; do tej pory ja byłem przyczyną tego nienatural- nego odsunięcia się od siebie nas obojga, choć doprawdy mało w tem jest mojej wi- ny. Jeżeli jednak myślę się pod tym wzglę- dem, przebac mi Pani i objaśnij, zresztą po- tęp mnie, jeżeli chcesz, byłeś się od tej chwi- li już nie usuwała, odemnie. Znając troski Pani, może potrafię ulżyć jej w jakiejś cze- ści, — znając upodobania i plany, będę się starał przygotować do ich wypełnienia i na- odwrót, w słowach Pani znajdę dla siebie zachętę i energję, których mi bardzo po- trzeba.

Nie wątpię, że uznasz Pani słusność po- wodów, które skłoniły mnie do tak śmia- łej propozycji, — nie zaprzeczysz bowiem, że stosunkom naszym brakuje dotąd najwa- żniejszej podstawy jaką jest: obustronne po- rozumienie się. Zbytecznym byłoby doda- wać, że ani na chwilę nie przypuszczam, abym mógł obrazić Panią tem prostem lecz pełnem szacunku odezwaniem się do Niej.

W pierwszym liście pisanym do Emilki zapytywałaś Pani co robię? Otóż, jestem li- teratem!... Pisuję ciężkie artykuły, które krytyka czasem gani, czasem chwali, a pu- bliczność zapewne niekiedy przegląda; nie-

*) Emilia Jackowska, cioteczna siostra B. Prusa.

myślę jednak robić sobie specyjalności z tego rodzaju zajęcia. Zawsze miałem wprawdzie zamiar wydać parę książek, odłożyć to jednak do spokojniejszych czasów; teraz, zadawałam się pacyfistycznymi artykułami, które dają mi jakieś utrzymanie i stósunki z ludźmi. Zapytywałam mnie Pani, co się dzieje z Logiką, którą przed dwoma laty pisałam zaczęłam. Nie ma jej, spadziewam się przecież, że wybaczysz mi Pani tę niesłowność. Po przyjeździe do Warszawy nie miałem już siły pisać dalej, teraz zaś jest ona zbyt ciężka, wkrótce bowiem zaczyna wychodzić u nas tłumaczenia znakomitych dzieł pisanych w tym duchu, które stopniowo będą Pani nadysłał. Resztę postaram się dopełnić listami, — jeżeli zechcesz je Pani czytać.

Na początku Sierpnia wyjeżdżam na Wołyn odcierać pieniądze z mojej części, a po wakacjach wstąpię na rok do fabryki dla obznajomienia się z praktycznymi robotami. W roku przyszłym również mam zamiar składać egzamin w Uniwersytecie, do którego nie mogłem się nawet zapisać. Czy złoże ów egzamin w r. przyszłym?.. Mniejsza o niego, — mogę go złożyć i za lat dwa w innych zupełnie okolicznościach byłem już raz młodym człowiekiem, o którym mi tak trudno.

Oto wszystko co mogę Pani obecnie donieść o sobie — lecz co dzieje się z Panią? Wiem, że nie jesteś Pani zdrowa i nie możesz być zdrowa siadając po nocach i męcząc się bezsennością. Czy się to godzi? Moim zdaniem, przez te kilka letnich miesięcy powinnaś Pani jak najmniej czytać i rozmyślać, — jak najwięcej pracować, młodość krzątając się około gospodarstwa i biegać na spacerach. Dojrzałe owoce, kwaśne mleko, zimna kąpiel i nadewszystko spokój duchowy uzupełnią tą łatwą kuracją, którą z całego serca życzę Pani jak najrychlej zacząć i jak najwytrwalej prowadzić. Wszak zdrowie Pani nie tylko ją samą obchodzi, a co najważniejsze, nie tylko ze względu na dziś pielęgnowane być musi.

Domyślasz się Pani, że list ten po kilka razy zmieniałem, poprawiałem, a nawet dawałem i nie ma się dziwić czemu, — w każdej chwili bowiem lękałem się aby coś niewłaściwego nie powiedziałem i do reszty nieznacząc Pani. Byłbym bardzo szczęśliwy mogąc dać ci myślenie zupełną swobodę, ale czas, odległość, a może i wola Pani wzniosły między nami zaporę, które tylko znowu wola Pani usunąć może. Lecz czy je usunie?.. W ostatnim liście Pani znajduje się kilka zdań, z których jedno uważam za słuszną karę dla siebie, inne, — nie będą ich powtarzałem, ponieważ list nie do mnie był pisany; mogę nawet oba listy, jakie nieprawdnie posiadam, oddać Emilce lub spalić stosownie do rozkazu Pani, której dalsze postanowienie w nilem nie powinny być krepowane.

Myślę jednak że odtąd otwarcie będziesz Pani postępować ze mną i otwarcie powiesz mi o swych widokach lub uczuciach. Nie chcę kłaść żadnego nacisku na decyzję Pani, — byłem ja młody. Jeżeli możesz mi Pani zrobić nadzieję dlaczegoż nie mam wiedzieć o tem, — w razie zaś przeciwnym nie potrzebujesz się Pani krepować ani wahać. Wiem, że chodzi tu o przyszłość Pani, wiem jednak i to, że szczęście jest tam gdzie serce i dla tego zapytuję tak śmiało. Znaję charakter Pani, wierzę, że albo wyjdiesz za tego kogo kochasz, albo nie wyjdiesz za żaden z nich. Jeżeli wybór padł na mnie, o czym do tej chwili wątpię, zaufaj Pani moim uczuciom i honorowi i odtąd myślimy i mówimy o tem tylko aby się połączyć, nie jak najprędzej ale w jak najkorzystniejszych warunkach, a w każdym razie nie wiele później od zakreślonego terminu; innego punktu wyjścia nie widzę.

Zdaje mi się, że w tem miejscu przeszedłem granicę towarzyskiej przyzwoitości, a nawet zdrowego rozsądku. Ale mniejsza o to, byłem młody od Pani odpowiedź. List ten dojdzie za parę dni, termin odpowiedzi zależy od Pani, — bardzo jednak byłbym wdzięczny za list przed moim wyjazdem, to jest w końcu lipca napisany. Co mi przyniesie?.. W każdym razie jednak nie gwałtaj się Pani na Emilce, za to że mi pokazała i oddała dwa listy Pani. Jest ona dobra siostrą a choć więcej się domyśla, niż wie o naszych stosunkach, o których z nią nie rozmawiam, odradza jednak, że mi wiele zależy na wiadomościach od Pani. Zresztą listy te są u mnie bezpieczne i jak już powiedziałem, w razie zadaną mogą być zwrócone lub zniszczone.

W tem miejscu chciałbym powiedzieć: „Całuję Twoje rączki i nóżki, moja najdroższa i najpiękniejsza!.. wstrzymuję się jednak, bo nie mam jeszcze prawa do tego. Jeżeli Pani możesz mi dać to prawo, daj je najprędzej, abym tymczasem listownie przynajmniej mógł z niego korzystać.

List ten wygląda na wyjętek ze starego romanu; ile też ludzie napisali podobnych i ile ich jeszcze napiszą! Świat obraca się w kółko...

17 lipca 1872 r. Al.
ADRES, Aleksandru Głowackomu w Warszawie, Ulica Smolna 5 (nowy) (N. 5).

III

Najdroższa Taciuniu!

Odpisałam Ci wcześniej, gdyby nie marny Munio¹⁾, który miał list przynieść i nie przyniósł; czekać jednak dłużej nie mam ochoty i tymczasem to powiem, co wiem.

¹⁾ Przypisek wydawcy: Adres napisany po rosyjsku.

²⁾ Przypisek wydawcy: p. Głowacka miała czterech braci: Michała, Stanisława, Ludwika i Zygmunta (Munio). Zygmunta i Stanisława uczuli się w Warszawie pozostając do pewnego stopnia pod opieką B. Prusa. Ludwik kształcił się w Petersburgu w Korpusie Kadetów.

Naprzód Munio uregulował się i postępuje dobrze; Tremblaska chwali go, a Stas jest zadowolony. Chorował na palec, lecz obecnie zdrow jest i wygląda lepiej niż w Lublinie; może tylko w moich oczach. Dobrze zrobię przysyłając mu metrykę, świadectwo szczerp, ospy, cenzury i inne (jeżeli miał) szkolne dokumenty, — trzeba go bowiem zacząć wysyłać do szkoły rzemieślniczej lub handlowej.

Stas, jak wiesz, wołny. Zamiast robić Ci wymówkę ze względu na niezanowowanie zdrowia, opiszę ci, jak się ze mną dzieje.

Kiedym wrócił do Warszawy, tydzień przynajmniej nie miałem apetytu; szklanka herbaty i pół bułki rano i wieczór, a na obiedzi rosół i kawalek mięsa, — oto moje całodzienne jadło przez ten czas. Dziś (a właściwie od 3 tygodni), mam apetyt straszny; dzisiejszy np. obiad kosztował mnie 3 zł 25 gr. (cena zwykła 1 zł 20 gr) a w tej chwili zjadłem jeszcze pół porcy bysztyku! Wyglądam bez porównania lepiej niż w Lublinie, humor mam cudowny i umysł jasny. Jako dowód tego ostającego mógłbym powołać się na 3 nagrody z Wędrowca²⁾ za rozwiązanie dość zresztą lichych zadań matematycznych i za płodność literacką. Do Kołców pisałem 3 artykuły, — każdy średnio zajął mi 3 godziny czasu a za wszystkie dostałem 22 rs.

Powiesz³⁾ sprzedam Kołcom za rs. 100 na wypłatę; znacznie wychodził w przyszłym miesiącu z rysunkami. Najważniejszą wiadomością jest ta, że moja posada kasyjera w Banku Tow. Wzajem. Kred. jest prawie pewna. Zarząd cały do nominacji przychylił się, pozostaje mi tylko prosić jeszcze księcia Lubomir, o poparcie. Posada zawakuje od 1 czerwca. 600 rs. pensji, 150 gratyfik. 7 godzin roboty. Przy tej posadzie był nasz będzie zapewnił: 500 rubli bowiem po za biurem zarobię a z 1200 utrzymamy się. Jednocześnie klucze mi się posada na kolei w Rosyji; która będzie lepsza niż ta wezmę.

Słowem, kochana Taciuniu, będzie dobrze z nami! Myśl ta dodaje mi otuchy, — Ty więc pamiętaj nie chorować. Trzeba Ci bowiem wiedzieć, że jako humorysta jestem dobrze uważany (nb. nie przez wszystkich), a to czasem może nam także kilkaset rubli napędzać, byle czas i zdrowie służyło.

Z moim odczytem nie wiem jak będzie; konkurencja straszna, już 17 zapowiedziano na post, nie licząc koncertów!

Co zrobię, nie wiem jeszcze, może odłożę go na czas powielkanoony, a może do jesieni.

Na loteryę trzymam N 9228; w pierwszym klasie nie wygrałem nic.

Teraz moja Pani do Ciebie:

Odpisz mi jak najrychlej i pśaj często, bo Cię zjem jak przyjadę! Ja mam czas bardzo zajęty i nie zawsze dość nowin, ale Ty mogłabyś (!) i po dwa razy na tydzień pisywać niedobra kobieto. Jeżeli mi rychło nie odpowiesz to Ci szafetę na koszt wysyłę.

W tej chwili odebrałem list od moich starzych: uściskaj ich oboje i całuj; niech im Bóg da setne lata, że o mnie nie zapominają, — choć władomości ich są smutne. Nie mogę się pogodzić z myślą, że Gucio chory niebezpiecznie, — posyłaj więc kogo do państwa Głowackich i napisz dokładnie co mu jest i jak jest.

Wszystkim ukłony najpiękniejsze, a moim robakom w podeszłym wieku uściski załączam.

¹⁾ Przypisek wydawcy: „Wędrowiec” tygodnik b. poczynny w owych latach.

²⁾ Przypisek wydawcy: Mowa o pow. „Kłopoty babuni”.

PAUL ELUARD

OCZY ICH ZAWSZE CZYSTE

Dni: powolne, dni deszczowe
Dni strząskanych zwierciadeł, igiel pogubionych
Dni powiek zawartych na widnokrąg morza
Dni godzin tak podobnych i niewoli dni.

Umysł mój który błyszczał jeszcze wciąż na listach
I kwieciu umysł mój jest nagł jak młóś
Jutrzenka o której nie pamiętam kaze mu spuścić głowę
I oglądać swe ciało posłuszne a prożne.

Przecież widziałem najpiękniejsze oczy w świecie,
Bóstwa srebrzyste dzierzące szafiry w swych dłoniach
Bóstwa prawdziwe, ptaki w ziemi i we wodzie,
Jam widział je.

Skrzydła ich moimi są skrzydłami, nie istnieje nie
Tylko ich lot co wstrząsa niedzą moją,
Ich lot gwiazdny, lot ich świetlny,
Lot ich ziemny, lot kamienny
Na falach skrzydeł.

Myśl moja podpierana przez życie i śmierć.

Przełożył Allan Kosko.

W NIEDZIELĘ POPOŁUDNIU

Splataly się sklepienie dziedziń światu szarego wśród krainy szarej, nieśmia-
tej, bez namilności.

Splataly się niezbłagane nieba, zakazane morza, dzierżawy jałowe.

Splataly się wytrwale galony zabiedzonych szkap, ulice które przestały
rozbrzmiewać turkotem powozów, zdychające koty i psy.

Otażaly się nimbem uroczaj badości niewiasty, dzieci i chorzy o przezro-
czystych zmysłach.

Otażaly się nimbem pozory, dni bez końca, dni bez światła, pełne absurdu
noce.

Otażala się nimbem nadzieja na śnieg ostateczny, czoła nienawistną znaczący.

Gestniały planety, cieniały wargi, szerszały czoła niby stoly bezużyteczne.

Gięty się szczyty dosiężne, lagodniały najbardziej młde strapienia, poczy-
nała przyroda podobać sobie w odgrywaniu jednej jedynej roli.

Odpowiadali sobie niemi, wysłuchiwali siebie głusi, spoglądali po sobie ślepi.

W owych zlewających się ze sobą dziedziinach, gdzie nawet łom cdblyskiwały
jedynie zabłocone zwierciadła, w owej odwiecznej krainie, co myliła już przyszłe
kraje, w krainie, kędy słońce miało właśnie otrząsać popioły.

Przełożył Allan Kosko

czam. Dla Ciebie już nic, — obrachujemy się na Wielkanoc.

Bądź zdrowa Najdroższa Taciuniu! odpis-
zaraz.

Kochający Cię A.

20/II 873

P. S. Kochana Ciotka ładnie się popisuje.
Leszno 31.

P. S. Pamiętaj, odpisz, bo pod słowem
zrobię skandal!..

Adio!..

IV.

Najdroższa Taciuniu!

Serdecznie dziękuję Ci za list, któryś do mnie napisała, a nadewszystko za to, żeś nie
kazała czekać zbyt długo na odpowiedź. I ja
też nie mogę się pochwalić cierpliwością
i wyglądam listu od Ciebie jak kania deszczu.
Będę Ci bardzo obowiązany jeżeli i Ty do
mnie zechcesz pisywać co tydzień; posyłam
ci nawet markę, aby Ci ułatwić wykonanie
mojej prośby. Zmartwiłem się wiadomością
o Ludwiku; twarzą to jest szkoda i szczegó-
nie przykre początki, — mam jednak nadzie-
ję, że się oswoi ze swym losem, a nawet, że
z czasem lepiej wyjdzie na tem.

Muniovi list zostawiłem. Gdy swoje inte-
rera pozalutwiał, zaczęłam wyglądać i w jego
sprawy i obszerniej o nim doniosę; dziś tyl-
ko wiem, że się dobrze prowadzi.

Co do mnie miałem projektów tyle: 1-o
Miejsce rysownika w Kijowie, 2-o buchaltera
przy kopalni węgla w Krakowskim, 3-o bu-
chaltera w jednym z tutejszych domów prze-
mysłowych, 4-o kasyjera w jednym z tutej-
skich banków prywatnych. Dwie ostatnie po-
sady zdają się być najpewniejsze, obie jednak
zawakuja dopiero w Czerwiec; którą z nich
dostanę, dziś jeszcze nie wiem, — może mi
się trafi coś lepszego wcześniej, tymczasem
jednak liczę na to i wkrótce wejdę na aplik-
ację dla obeznania się z interesami.

Tyle o mnie, przepraszam: mam jeszcze ka-
tar i kicham jak wieloryb. Sprawia mi to b.
przyjemną rozrywkę, ze smutkiem jednak wi-
dzę, że i to się już kończy.

W niedzielę byłem na balu p. t. Meluzy-
na. Akt I-y b. mi się podobał, występowały
bowiem na scenie stoliki, butelki, niedźwie-
dzie, jaszczurki, robaki, grzyby, itd. Dalsze
jednak nudziły mnie i wyszedłem przed koń-
cem.

Nie bywam nigdzie, z wyjątkiem niektó-
rych redakcji i giełdy literackiej, (uk. Sem.
w Sask. Ogr.) gdzie z przestrachem widzę,
że połowa moich przyjaciół już się pożeniła,
a druga o tem myśli. Nie mogę powiedzieć,
abym skutkiem tego nabrał wstrętu do mał-
żeństwa.

Z polityki jeszcze nic. Rozeszła się pogłoska,
że rząd przestanie utrzymywać teatry polskie,
czemu jednak zaprzeczono; kraży także wieść,
że pomimo nominacji Kotzebuego będzie na-
miestn. K-ze Mikołaj, co było b. dobrze.
Ze wszystkich jednak pogłosek najpewniejsza
jest ta, że ces. Austrii, przejdzie p. War-
szawę do Peters. Powiedz także wujowi, że
o Prusach słyhać źle; podobno jest przy-
mierze franc.-astry.-rosyjs. do którego i Ba-
waryja ma przystąpić. Gadają też, że Bism.
ma początki zajęcia.

Jeżeli Ci teraz dodam, że w Warszawie
powietrze jest mroźno-śnieżne, i, że miesz-
kać (z Sulig.) jak para arcybiskupów,
w pokoju fraterów, z 2 oknami, szafką i t. d.,

¹⁾ Cukiernia Semadeniego (przyd. wyd.).

²⁾ Przypisek wydawcy: Adolf Suligowski,
późniejszy znany adwokat warszawski, wiel-
ki przyjaciel domu pp. Głowackich.

to sądzę, że już nie więcej z wiadomości
nie będę mógł zacytować. Niech więc będzie
tego dość na dziś.

Przechodząc do psychologii, donoszę Ci
moja Pani, że nawet z daleka nie dajesz mi
spokoju; myślę o Tobie często, może nawet
za często jak na niezamożnego literata. Dla-
tego też uwijam się za posadami jak anioł
i zarówno znajomym, jak nieznanym
w szkaradny sposób zawracam głowę. Jak-
kolwiek więc, nie można przesadzać prze-
szłości, mam jednak niejako prawo przy-
puszczać, że kłopoty nasze już w tym roku
kark skreca. Co daj Boże — amen.

Przy tej sposobności muszę Panią zawi-
domić, że jesteś kobietą bez strę, ponieważ
mając 11 zesztych. Historii Powi, piszesz
o 16-tn. Bardzo będę obowiązany za dokład-
niejsze doniesienie, poczem brakujące nume-
ra za pośrednictwem urzędów miejscowych
odeszle.

Nie piszesz czy i ile razy był u Ciebie
Janisz²⁾. Bardzo Ci będę obowiązany, je-
żeli dobrze zechcesz wyglądać i pilnie leczyć
się; nie mi nie piszesz także o krzyżu i bo-
ku? jest to bardzo nieprzyzwoicie!

Kłaniaj się tam pięknie wszystkim i uca-
luj kogo należy. — załączoną kartkę Ciotce
mojej dorecz i nawiedzaj ją często, Ciebie
nie całuję, listownie te pogroźki dużo mnie
zdrowia kosztują, wolę więc mniej pisać
a więcej Ci ucałować jak się zobaczymy.
Mamy dziś S-go Anzgaręgo i jak obczył
8 tygodni do Wielkiej Nocy. O la Baga!..
jakże to będzie śliczne!..

Nie wiem już, który raz z rzędu list twój
odeczytałem; jeżeli więc nie winszujesz sobie,
ażebym nad nim oczy stracił, to mi jak naj-
rychlej przyslij drugi, moja ty kochana
zgrzyot!.. Jeżeli zaś będziesz się zanięby-
wał to ostrzegam się, że jestem sublokato-
rem pewnej damy, która już jedną córkę za
naszego poprzednika wydała, a drugą hoduje;
je; mogę Ci więc zrobić niespodziankę
i z żoną przyjechać, rozumie się na jej koszt,
bo panna ma mieć kruszczo.

A teraz bądź zdrowa moja śliczna i kocha-
na Taciuniu i odpisz prędko. W tej chwili
przypominam sobie nasze wieczory i.. już
nie wiem co pisać dalej. Przypominaj że je
i Ty i kochaj Twego uniżonego sługę

Olesza

P. S. A odpisz prędzej Taci!..

5/II

4/II 874 Leszno 31.

V.

Warszawa D. 187 r.

REDAKCJA
Dwutygodnika
NAUKOWEGO, LITERACKIEGO
i ARTYSTYCZNEGO
„NIWA”

Najdroższa Taciuniu!

No. Przebac mi ten urzędowy charakter
listu, ale piszę do Ciebie z redakcją, o godz.
8½ z rana wybierając się na konkurs zwi-
wierek za miasto. Zwiózylem z dnia na
dzień naszą korespondencją, gdy w tem...
przyniósł mi się (!) dziś zrana; uczulem
wyrzuty sumienia i bać co bądź postanowi-
łem napisać natychmiast. Obym ja Ci się
przyniósł znowu, a może przybaczyłabyś mi
opóźnienie i nie tak jak ja zwłoczyła z od-
powiedzią!

Jestem ciągle w takim pytlu, że choć
wiem, iż zobaczymy się przed weselem, boję
się naznaczyć terminu. Roboty mam dużo,
wysława za pasem, może w interesach spo-
lecz.-literac.-artyst. będę musiał wyjeź-
dzić gdzie, — krótko mówiąc nie wiem kie-
dy będę w Lublinie. Najpóźniej jednak po
wystawie z pewnością jadę.

Nie miej do mnie żalu Taciuniu! Jąbym
się chciał z Tobą spotkać jak najrychlej
i być jak najdłużej; ale wreszcie i nasz róż-
dział skończy się już nie długo!

Szukam mieszkania dla nas, które wezmę
od kwartału i postaram się urządzić zupeł-
nie na Nowy Rok. Trafia mi się jedno przy
ul. Twardziej za 180 rs. rocznie: dwa pokoje,
przedpokój i kuchnia. Dom pyszny, podwór-
ze, jak salon, ogród, fontanna, wodociąg
i pompa — oto jego wygody. Do lokalu na-
leży piwnica, strych i komórka; sam lokal
na 1-em piętrze, suchy, widny i czysty. Sło-
wem zachwycałbym się nim gdyby Ci się
podał i gdyby już skończył (bo coś rządzi-
ca kreć). — Posyłam Ci plan, a jeżeli Ci się
podało to nawet gotów będę dać kilkanaście
rubli odstępnego. W dodatku miałabyś blisko,
bo o kilkadziesiąt kroków kościół na Grzy-
bowie, targ za Żelazną Bramą i Saski ogród.
Chodnik asfaltowy ciągnie się od samego do-
mu.

Napisz mi co myślisz o obszerności tego
mieszkania, a jeżeli podoba Ci się to będę
kończył. Gdyby wypadkiem ten lokal prze-
padł wyszukam inny w tym guście.

Mam jeszcze parę innych planów z któ-
rych jedne odkładają się na czas dłuższy in-
ne na krótszy. Doniosę, gdy skończę.

Ucałuj moją Ciotkę i spytaj czy Berneaux
nie pisał i pieniędzy nie przysłał? Jeżeli
przysłał, niech Wuj weźmie sto rubli dla
siebie.

Jeżeli będziesz mogła, to za pośrednictwem
Ciotki przyslij do Gucia załączoną kartkę.
Kocham całując Cię najserdeczniej, a wła-
ściwie nie Cię, ale rączki Twoje i nóżki.
Pisz do mnie mój skarbie i donos o zdrowiu,
Ciotce, Mamie, Babce, Wujowi i t. d. pozdro-
wienie zasylam

Twój Al

5/VIII Aleksandryja²⁾

N 15

¹⁾ przypisek wydawcy: „przeszłości” —
lapsus calami — powinna być „przyszłości”.

²⁾ Janisz. — to Janiszewski przyjaciel Pru-
sa z młodych lat.

³⁾ Przypisek wydawcy: Aleksandryja —
tak nazywała się dawniej dzisiejsza ul. Ko-
pernika.

PAWEŁ HERTZ

PODRÓŻ NA WSCHÓD^{*)}

W końcu listopada Słowacki wrócił do Neapolu. Zbliżał się czas wyjazdu Januszewskich. Wiedząc o tym że już niedługo przyjdzie mu z nimi zabawić, odnosił się do nich bardzo czule. Roztłukiwało go pewnie i to, że Teofilowie wracają do kraju, dokąd jemu wracać było nie wolno, że zobaczą Krzemieniec i panią Salomeę, którą jedną tylko, zdaje się, naprawdę w życiu kochał. Teofilowie byli oczarowani tą zmianą i pisali do Krzemienia listy pochwalne, odwołując to wszystko, co donosiło o nieczułości siostrzeńca.

Ten rodzinny nastrój trwałby może dłużej, pod obcym, neapolitańskim niebem, gdyby nagle nie pojawili się trzej młodzi Połanie — bogaci obywatele ziemscy — i nie postanowili wciągnąć Juliusza do projektowanej podróży na wschód. Zenon Brzozowski oraz Aleksander i Stefan Hołynscy byli dość zamożni, by móc sobie pozwolić na tę podróż. Słowacki, choć nie był bardzo biednie — matka wysyłała mu pieniądze z zapisu ojcowskiego — nie mógł z taką łatwością zdecydować się na wyjazd, mimo, iż projekt podobał mu się bardzo. Byłaby to wędrówka naprawdę romantyczna, szlakiem Chateaubrianda i Lamartine'a; droga do Grecji pozwoliłaby mu dotrzeć do źródeł natchnień lorda Byrona, Egipt przypominał dawną, młodzieńczą przyjaźń ze Szpitznaglem, który nigdy do

na Wschód" i taki właśnie tytuł proponuje wydawca pośmiertnych pism Słowackiego, Antoni Małecki, jeden z niewielu biografów, którzy starają się postać Juliusza pokazać bez niepotrzebnych ozdób.

W Otranto trzeba było czekać na okręt, idący do Korfu. W owych czasach komunikacja nie sprzyjała zbyt turystom. Słowacki musiał więc przesiedzieć w tym dusznym i brudnym portowym miasteczku dobre kilka dni. Pewnie pisał swój poetycki dziennik.

2 września przybył wreszcie statek, w dwa dni potem podróźni mogli już zwiedzać Korfu. Postój był niedługi, zaledwie czterodniowy, po czym rozpoczęła się dalsza droga, ku greckim brzegom. Wreszcie 10 września okręt przybił do portu w Patras i Słowacki zszedł na ziemię, po której niedawno stąpił Byron. Widać tradycja greckich walk o niepodległość przemawiała silnie do jego wyobraźni, bowiem dowiedziawszy się, że niedaleko portu mieszka bohater niedawnych bitew, Kanaris, ten sam co spalił turecką flotę, pośpieszył złożyć mu wizytę. Oto więc widział teraz ziemię i ludzi, których opisał w „Lambrze”. Wszystko to było pewnie mniej poetyczne niż opisał, ale dlatego właśnie wspanialsze. Rozmowa z Kanarism, widok miejsc osławionych, musiał na nim wywrzeć wielkie wrażenie i należy się domyślać, że w te dni właśnie, nim ruszyli w dalszą komną podróż



z podróży po Nilu — rysunek Juliusza Słowackiego

ne o tym wiedział. On sam więcej niż trzy dni w sumie zabawiał w salonach arystokracji. Nic mu jednak to nie przeszkodziło, by po żartobliwym wstępie swojego wyznania wiary politycznej, napisać proroctwo dla wieku dziewiętnastego i stwierdzić, że w to proroctwo sam wierzy:

Wierzę, że idą ludy, jako chmura
Pełna błyskawic na trony zachwiane —
Wierzę, że nawet królewska purpura
Próchnieje w trumnach — wierzę

w zatrzymane
Ławy żołnierza, tam, gdzie stanął Kokles —
Wierzę, że Milcyad żył i Temistokles —

Wierzę, że jeszcze żyje dziś Kanaris,
Bo właśnie teraz wracam z jego domu...

Dla zbudzonego mieszczaństwa Paryża Wielkiej Rewolucji enoty starożytnych Greków były miarą ich własnych cnót republikańskich. Słowacki, jeden z niewielu zbudzonych szlachciców, ma przykład bliższy: enoty Greków współczesnych w walce o niepodległość. I cały ten fragment „Dziennika Podróży na Wschód”, w którym opisał wędrówkę po Grecji pełną jest nieustannych powiązań historycznych między Polską i Grecją oraz inwokacji do wielkich bohaterów w obu krajach walczących o swobodę.

Nie wiem, czy obmyślał swój pamiętnik podróży po Grecji w czasie postojów w obozach, przed noclegiem lub może o świącie, czy też potem w Egipcie, gdzie zatrzymał się dłużej. W każdym razie z greckich jeszcze wrażeń powstał później w Paryżu „Grób Agamemnona”, stanowiący część poematu, choć w tonacji różnej niezmierznie od ironicznych i melancholijnych, wcześniej zapewne pisanych kilku pierwszych pieśni.

„Grób Agamemnona” na nowo potwierdza rewolucyjne credo, a przy tym miesza się jeszcze echa rzymskich rozmów z Zygmuntem Krasińskim. Krasiński wierzył w Polskę szlachecką i jeśli czego żądał, to tylko tego, by szlachta i arystokracja same zrozumiały swoje wielkie posłannictwo narodowe. Krasiński nie wiedział, lub nie chciał nie widzieć o prawach historycznego rozwoju społeczeństw, odwracał się w świetną przeszłość kraju i stamtąd oczekiwał pomocy, dziwił się i gorsząc, że lud sam chce decydować o swoich losach. Słowacki jeśli nie był politykiem świadomym,

instynktownie odczuwał wielki patos rewolucyjnego romantyzmu. „Szlachta nie rozumie” — mówili mu Filowie, gdy im czytał w Neapolu swoje najpiękniejsze wiersze. „Sep ci wyjada nie serce, lecz mózgi...” — odpowiada Juliusz dworom, gdzie żyją ciężcy i rubaszni hreczkosieje, których pamięta, zna i przecież jakoś lubi, lecz wie, że ich czas historyczny już mija.

W Atenach spędził cały tydzień, od 20 do 27 września. Z całej greckiej podróży nie wiele danych do nas dotarło. W listach do matki pisanych po powrocie, tylko w liście z Livorno, 11 lipca 1837 roku, czytamy: „Grecja, pełna ruin precudownych, podobała mi się bardzo i bardziej niż Rzym mnie zachwyciła. Egipt zatępnął Grecję w mojej pamięci — nie cudowniejszego nad ruiny nad Nilem będące”.

27 września 1836 roku wyruszył Słowacki do portu na wyspie Syra, by tu przebiegać się na okręt idący z Marsylii do Aleksandrii. 12 października oczekiwany okręt nadszedł.

O świącie, po dziewięciu dniach podróży, ujrzał z pokładu brzegi afrykańskie. Po zwiedzeniu Aleksandrii ruszył łodzią w górę Nilu, w stronę Kairu. I tu był tydzień. Gdyby Słowacki tak jak Flaubert, który w swoją podróż wschodnią wyruszył w roku śmierci Juliusza, 1849, pozostawił po sobie podróżne zapiski, wiedzielibyśmy dziś może więcej o tym pobycie. Ale on swoich wspomnień podróży używał do ozdoby poematów. W „Beniowskim”, w „Podróży na wschód”, w listach poetyckich pisanych z Egiptu, nie znajdziemy wschodu. Mamy tam tylko wyobrażenie Słowackiego o Wschodzie, upiększone potrzebą świetnego rymu, ograniczone rytmem romantycznym, jak w „Beniowskim”, lub klasycznym, jak w liście „Do Teofila Januszewskiego” lub we wspaniałym posłaniu do towarzysza podróży, Aleksandra Hołynskiego, pisanym „na łódce nilowej”.

2 listopada wstąpił Słowacki na piramidę w Gizie, w towarzystwie Zenona Brzozowskiego i przewodników arabskich:

Arabi stali cicho — za nimi zwierciadłem
Był sklep błękitu; w niebo spojrzalem
i siadłem,
Patrząc na różnych w koło napisów
kobietce.
Cicho... Zegarek slysze idący — i serce:
Czas i życie...



z podróży po Nilu — rysunek Juliusza Słowackiego



Grób Agamemnona

Aleksandrii nie dojechał, zaś Ziemia Święta uzupełniłaby swoim pejzażem rozmowy z Krasińskim, toczoną w cieniu Kołoseum. Teofilowie odradzali mu tę podróż, mierzyli odległości od Krzemienia. Ale on, który nigdzie właściwie nie miał teraz stałego miejsca postoju i chyba lubował się w tej włóczędce, choć zawsze na nią narzekał, postanowił jechać.

Któregoś dnia, gdy zapewne przestał się już wahać, otworzył, jak pisze do matki, Pismo Święte i wzrok jego padł na werset: „Kościółcy azyjskie pozdrawiają was”. Wolał swojej ciekawości turystycznej nadać pozory fatalnego przeznaczenia. Gdy więc przypadkowa wyrocznia potwierdziła dziwnym trafem jego życzenia, zgodził się przyjąć zaofiarowaną mu przez Zenona Brzozowskiego pożyczkę w wysokości tysiąca rubli srebrem „z warunkiem, że mu je odda za 4 lata”, i ruszył pocztą do Otranto, żegnając czule Filów.

Z Otranto okrętem jechał do Grecji. Zdaje się, że jeszcze w Neapolu rozpoczął układać rodzaj pamiętnika podróży. Jest to jeden z najpiękniejszych i jednocześnie najmniej dokładnych opisów rzeczy widzianych. Ten dziennik, pisany mistrzowskim wierszem o skomplikowanych i wymyślnych rymach, pełen spraw nie tylko podróży, ale w miarę jak się Słowacki oddalał od Italii również i politycznych wypowiedzi; o których mowa będzie potem, został w wielkiej części opracowany znacznie później i nie był nigdy wydany za życia Juliusza. Odnaleziono go dopiero po śmierci poety. Był bez tytułu. Nadano mu nazwę „Podróż z Neapolu do Ziemi Świętej”, ale jeśli uważnie będziemy go czytać, to niewiele znajdziemy w nim z nastroju pobóznego pielgrzyma. Toteż stosowniejszą nazwą dla tego dziennika poetyckiego będzie „Podróż

w głąb lańdu, powstała myśl o tych kilku strofach dziennika podróży, zapisanych pewnie później, które chciałbym zacytować.

Wierny byronicznej manierze jaką z nielicznymi wyjątkami pisany jest cały utwór, rozpoczyna Słowacki nieco żartobliwie swoje republikańskie credo:

Na Parnas jeździć będą dylizansem
Wieszcz Europey — a republikanie
Za lat dwadzieścia... Kto wie co się stanie?

Wierzę w republik ojca jedynego
Robespiera (to „Trybuny wina”,
Ze został ojcem). Credo w Mochnackiego,
Rzeczpospolitą; jedynego syna,
Co wielkich marzeń nie przestając snować,
Przez Dyktatora dał się ukrzyżować.

Potem zaś wstąpił do arystokracji
I trzy dni bawił; a po tej troszeczce
Przyszedł w obliczu przyszłej generacji
Sądzić umarłych i żywych — w książeczce!
Weń uwierzywszy z dwóch tomów

zaczętych.
W emigracyjnych wierzę wszystkich
świętych...

Oto więc wypowiedź polityczna, jasna i dobitna, choć gorzka i pełna ironii. Musiał go widocznie te sprawy żywo obchodzić, skoro myślał o nich w obliczu widniejącego zza greckich, różowych mgieł wierzchołka Parnasu. Dwa tomy „Historii Powstania” Mochnackiego wydane sumptem Chęmińskiego, emigranta, a drukowane pod osobistym nadzorem autora w małej i dlatego taniutkiej drukarni w Maty le-Boy, niedaleko Paryża, w połowie 1833 roku; to dwa tomy zaczęte tej książeczki, w której jeden ze statystów polskiej rewolucji sądził swoich współczesnych. W roku 1834, zwątpiwszy w skuteczność polityki Towarzystwa Demokratycznego, Mochnacki sprzyja Czarotoryskiemu. Słowacki zapew-

*) Fragment książki o Juliuszu Słowackim, która ukaże się nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

Z piramidy w Gizeh jeszcze nie widać małych eken mieszkani przy ulicy Pontieu, gdzie Słowacki umrze za trzydzieści lat. Ale z piramidy w Gizeh widać ogromną, spaloną przez słońce i wysuszoną wiatrem ziemię. Będzie się jeszcze po niej tulał, czy to idąc przez kręte uliczki Florencji, czy wymijając powozy na polach Elizejskich, czy wreszcie stąpając po miękkim, nadoceanicznym piasku w Porne. Ziemia Afryki czy Europy — jednakowo niegościnna, tak samo twarda i tak samo nie dająca schronienia. Czas i życie upływają mu tymczasem na podziwianiu piękności tej nieprzychylnej ziemi.

6 listopada wyruszył na inną wyprawę, łodzią, w górę Nilu, Jechał do Teb. Obaj Holyńscy wyruszyli już przedtem. Towarzyszył mu tylko Zenon Brzozowski. W czasie tej drogi nilowej szkicował trochę w swoim podróżnym notatniku, a nawet pisał. Powstał wtedy ów piękny wiersz klasyczny do Aleksandra Holyńskiego, zaczynający się od słów „Rozdziel nas gościniec płynnego szafiru, Ty w Tebach, ja dopiero wypływam z Kairu... A twój brak tak mi serce w podróży oziębia, żem przedsięwziął do ciebie pisać przez gołębia”. Wreszcie wszyscy — Słowacki, Brzozowski i obaj Holyńscy — spotkali się w małym miasteczku Denderah 19 listopada. O północy tego dnia podróżni znów się rozłączyli. Słowacki z Brzozowskim ruszyli w stronę katarakty Nilu, skąd Holyńscy właśnie wracali. 10 grudnia zjechali się wszyscy w Kairze. Ale ten popas znów nie trwał długo. Dni pięć upłynęło im na uzupełnianiu ekwipunku i prowiantu. Holyńscy pozostali w Kairze, Słowacki wraz z Brzozowskim ruszyli na wielbłądach do Ziemi Świętej. Przybyli do El-Arish, „gdzie trzeba było siedzieć pod namiotami dni 12 kwarantanny”. Z tej kwarantanny narodził się mial później „Ojciec zadumionych”. Do Gazy przybyli o pięknej pogodzie, ale i tu, i w Jaffie zatrzymali się krótko. Celem podróży była Jerozolima, w której bram stanęli wieczorem, 13 stycznia 1837 roku.

Bramy Jerozolimy były zamknięte, czekali dość długo u wrót świętego miasta, bo aż dwie godziny. Wreszcie ich wpuszczono. Nocowali w klasztorze. Tutaj Słowacki spodziewał się spotkać dawnego swojego znajomego, Aleksandra Szpitznagla, brata Ludwika. Szpitznagel był wicekonsulem rosyjskim w Jaffie i do Jerozolimy przybył na krótki tylko czas. Słowacki, który dowiedział się o tym w drodze, ogromnie się ucieszył i postanowił za wszelką cenę zobaczyć się z dawnym kolegą uniwersyteckim, bratem jego jedynego prawdziwego przyjaciela. „Szpitznagel, słysząc głos cudzoziemców schodzi na dół, biorąc go za ramiona, obracam ku sobie, mówię mu, „Oleś! Nie poznajesz mnie?” Pytam go po kilka razy. „Jako? Czy mnie nie poznajesz?”. Odpowiada mi po trzykroć „Niech Pan daruje, ale prawdziwie nie przypominam sobie”. Na koniec musiałem ze ściśniętym sercem wymówić moje imię i nazwisko”. Czas i życie raz jeszcze sprawiły mu nie spodziankę. Okazało się, że płynął miarowo, lecz nieubłagane. Zacierają rysy ludzkich twarzy, zmieniają je i niszczą. Czyżby Słowacki o tym nie wiedział? Wiedział na pewno, ale radby o tym nie pamiętać. Wilno, lata dawne, przyjaźń z Ludwikiem — wszystko to przypominał sobie rzewnie w jerozolimskim klasztorze, nierozpoznany przez przyjaciela młodości.

Jego nastrój z chwilą, gdy przekroczył granicę Ziemi Świętej bardzo się zmienił. Myśle, że cała podróż nie była pomyślana jako pobożna pielgrzymka. Ale bliskość miejsc opisanych w Biblii, którą czytywał pilnie jeszcze w Szwajcarii, rozbudziła w nim nastroje religijne. Skądinąd wiemy, że wiara — tę wiara konwencjonalną, odmie-

rzaną modlitwami i mszą — stracił już dawno.

Być może, iż w Rzymie, gdy mówił z Krasińskim, poruszał również sprawy religij. Krasiński sam w owym okresie podobno wątpił.

„W nocy z 14 na 15 stycznia 1837 roku miałem przepędzić noc u grobu Chrystusa... — pisze Słowacki do matki z Bejrutu, 19 lutego 1837 roku. — Na wspomnienie tej nocy tak miałem rozigrane nerwy, że łyż rzucały mi się z oczu... O godzinie 7-mej wieczór zamknięto kościół — zostałem sam i rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu. Nade mną płonęło 43 lamp. Miałem biblię, którą czytałem do 11 w nocy... o drugiej zaś w nocy ksiądz rodak wyszedł ze mszą na intencję mojej kuzynki, a ja, klęcząc na tym miejscu, gdzie Anioł biały powiedział Magdalenie: Nie ma go tu, zmartwychwstał! — słuchałem całej mszy z głębokim uczuciem”.

Pani Salomea Bécu, w której posiadaniu list ten się zachował, uczyniła własnoręczny przypisek nad słowem „kuzynka”. Znaczy to — ojczyzna. W Betlejem, niewielkim miasteczku, zamówił w kilka dni później drugą mszę, tym razem na intencję matki.

Gdy obejrzał już wszystko, co było godne widzenia, ruszył z Brzozowskim znów dalej. Konno dotarli do Damaszku. Tu Brzozowski zakupił tabun koni, najpewniej dla swoich podolskich stajen i pędząc je przed siebie pojechali do Bejrutu. Podróż konna trwała w całości bardzo długo (bo od Kairu aż dwa miesiące). Toteż Słowacki postanowił odpocząć w Bejrucie. Brzozowski jechał dalej, do Konstantynopola, łącząc bowiem przyjemność egzotycznej podróży z doskonałym zapewne interesem, jakim było zakupienie rasowych koni bez niezygłego pośrednictwa. Z Konstantynopola konie załadowano na okręt idący przez morze Czarne ku brzegom ukraińskim, skąd miały już bez przeszkód dotrzeć do stajni Zenona Brzozowskiego.

Został więc Juliusz sam, jak mu się to już tyle razy zdarzało. Te ostatnie dni pobytu w Syrii przepędził w Beyrucie tylko częściowo. Wybrał się do Betchesban — klasztoru położonego na Libanie. Przybył tu około 22 lutego, celkę miał małą, żył skromnie, gadał z zakonnikami. Uczył się arabskiego od dziewcząt wiejskich, gdy przychodzili czerpać wodę u źródła. Siadał czasem w swojej celi, przeglądając dawne listy otrzymywane od matki, przerzucał notatki podróżne, może poprawiał jakieś strofy dziennika poetyckiego. Wreszcie zaczął pisać. Z początku, pamiętając jak bardzo mu były posuszne kunsztowne miary, wybrał tereję dla swojego poematu, który miał się nazywać „Posielenie”, co po rosyjsku znaczy osiedlenie — słowo dobrze znane Polakom zsyłanym na Sybir przez wiele dziesiątków lat.

Cóż to miał być za poemat? Gdy porzucił tereję i zaczął pisać poetycką prozą, powstał „Anhell”; „...melancholiczną i trochę Chrystusową ma twarz, wielką prostotę w ubiorze i niepodobny jest do niczego” — informuje Słowacki matkę z Florencji, w lipcu 1838 roku.

Czy rzeczywiście niepodobny jest „Anhell” do niczego? W formie swojej podobny jest do mickiewiczowskich „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa”, tak samo jak one pisany biblijną prozą. W treści zapożycza „Anhell” motywy z Pisma Świętego, z „Boskiej Komedii” Dantego, może gdy czytamy rozdział o walkach emigracji politycznej, wolno nam przywołać pamięć „Nieboskiej” Krasińskiego.

To co nas dziś interesuje w „Anhell”, to umiejętność wtopienia spraw czysto politycznych, aktualnych niemal dziejących



z podróży po Nilu — rysunek Juliusza Słowackiego

się współcześnie w obrazy tak bezbiedne i język tak piękny, że poemat nie stracił na swojej doskonałości nawet wtedy, gdy zbliżyły już karty dziejów wielkiej emigracji. W liście do Gaszyńskiego pisanym w roku 1839, gdy Gaszyński tłumaczył „Anhellego” na francuski; Słowacki daje dokładny klucz do poematu: „Anhell” potrzebuje komentarza jak Dante, bowiem pisałem go umyślnie zwięźle, i z wielką ekonomią faktów, kto więc nie popracuje imaginacją własną nad każdym frazesem Anhellego, temu wszystko w nim będzie blade...”

W każdym razie ważnym dla nas szczegółem jest informacja, że rozdział X poematu jest „spoetyzowaniem klóten emigracji”. W tym rozdziale X pisze Słowacki o trzech gromadach wygnańców na Sybirze, który tu jest określeniem całej polskiej społeczności na wygnaniu, nie tylko w Rosji; — „każda z nich myślała o zbawieniu ojczyzny”. Mamy tu więc gromadę grafa Skira — przejrzyście portret księcia Adama Czartoryskiego i jego stronnictwa, gromadę Skartabelli — stronnictwo demokratyczne oraz trzecią gromadę, księdza Bonifata, „który kraj chciał zbawić modlitwą i na ocalenie kraju podawał sposób jedyny — iść i ginąć, nie broniąc się, jak męczennicy” — stronnictwo katolickie potraktowane zresztą najmniej przychylnie przez Słowackiego, dla którego daremność ofiary nie równała się bynajmniej ani bohaterstwu, ani nie miała nic wspólnego z patriotyzmem.

„Anhell” nie jest poematem jasnym. Styl biblijny, konieczność zamykania rzeczywistości w symbole, to wszystko wcale nie ułatwia rozpoznania ideologii utworu. Pisany w klasztorze syryjskim, po odwiedzinach grobu Chrystusowego, z daleka od emigracyjnego Paryża i Europy owych lat, „Anhell” mało ma wspólnego z wyrażym i płomiennym wyznaniem wiary, zawartym w strofach zapisanych w dzienniku wschodniej podróży. W finale poematu Rycerz z chorągwią na której trzy widnieją litery, wyłożone przez Słowackiego Gaszyńskiemu we wspomnianym liście jako słowo Lud, zbliża się konno do trupa Anhellego i woła „Tu był żołnierz, niech wstanie! Oto zmartwychwstają narody! Oto z trupów są bruki miast! Oto lud przeważy! Nad krwawymi rzekami i na krągankach pałacowych stoja bladzi królowie, trzymając szaty na piersiach szkarłatne, aby zakryć pierś przed kulą świszającą i przed wichrem zemsty ludzkiej. Korony ich ulatują z głów, jak orły niebieskie, i czaszki królów są odkryte. Bóg rzuca pioruny na głowy siwe i na obnażone z koron czola. Kto ma duszę, niech wstanie! Niech żyje! Bo jest czas żywota dla ludzi silnych...”

Ale Anhell nie wstaje na ten głos, śpi snem wiecznym. To wyznanie własnej słabości najbardziej pewnie podobało się Zygmuntowi Krasińskiemu, który twierdził, że Anhell jest najdoskonalszym z dzieł Juliusza. Znajac polityczne poglądy świętego twórcy „Nieboskiej Komedii” nie powinniśmy się dziwić, że tak zakończony Anhell, gdzie emigracja została osądzona nie z ludzkiego i historycznego punktu widzenia, lecz ze stanowiska, które przypisuje sobie siłę arbitrażu nadludzkiego, znalazł w Krasińskim gorącego wielbiciela.

W kwietniu powrócił Słowacki ze swoim rekrutem do Bejrutu. Okręt do Europy odpłynął przed kilku dniami i trzeba było czekać na następny. To oczekiwanie trwało sześć tygodni: spędzał je trochę się nudząc, bywając u konsula francuskiego i czytając książki o Lewancie.

Pewnego dnia ta bejrucka samotność została przerwana przybyciem Stefana Holyńskiego, którego ze wszystkich swoich trzech

towarzyszy podróży lubił zdaje się Słowacki najbardziej, choć znali się mało. Holyński odnosił się do Słowackiego z wielką atencją i tym zapewne musiał sobie zaszkodzić jego przyjaźń. Mimo bowiem pobytu w libańskim klasztorze i bardzo zmienionego od chwili wstąpienia na ziemię palestyńską stosunku do ludzi i świata, Słowacki nie przestał być sobą. Zawsze ambitny, trochę próżny, okrutnie w tej ambicji zawiedziony, teraz, czekając na okręt do Europy, gdzie z podróznego i pielgrzymy wypadnie mu znów zamienić się w pisarza i znosić wszystkie przykrości swojego zawodu, był zdaje się zadowolony, że w młodym Holyńskim znalazł wielbiciela. Te kilka wspólnie spędzonych w Beyrucie tygodni przyniosło Holyńskiemu zysk nie lada, choć tylko moralnej natury. Słowacki dedykował mu później, gdy wydawał „Anhellego” w Paryżu, ten poemat: „Stefanowi Holyńskiemu na pamiątkę spotkania się w Ziemi Świętej i pod górami Libanu” — tak brzmi ta dedykacja, w której imię młodego obywatela ziemskiego z Podola zostało uniesmiertelnione razem z poematem. Holyński, choć nie wiedział może jak wielkiego dostąpił zaszczytu — bo któż myśli, że dzieło napisane przez znajomego będzie nieśmiertelne? — był w każdym razie wdzięczny. Szkoda też, że to nie jemu, lecz Zenonowi Brzozowskiemu oświecił Juliusz, gdy się rozstawali przed tym w Beyrucie, listy i płaszczyk z białej, tunetańskiej wełny dla pani Salomei. Zenon bowiem, mniej wdzięczny przyjaciel, ani listu, ani pieszczoty nie doręczał pani Bécu w odległym Krzemieńcu. Stefan Holyński załatwiby to pewnie solidnie.

A właśnie teraz — po sześciu tygodniach — wypadało im się rozstać. Na pożegnanie Holyński zaproponował Juliuszowi pożyczkę. Uczynił to bardzo delikatnie, jakając się „ściśnięciem go za rękę — pisze Słowacki do matki — i dokończyłem sam zaczęty przez niego frazę. Dobry chłopiec! Rzucał mi się na szyję i płakał rzewnymi łzami, usiłując mnie zmusić jednocześnie, abym wziął 2000 franków”. Słowacki pożyczki nie przyjął; miał tyle pieniędzy, ile mu trzeba było, by dotrzeć do Włoch.

Ostatni wieczór przed odjazdem obaj spędzili na balu u konsula francuskiego. Bal był wspaniały; damy z miejscowej kolonii konsularnej, fajerwerki i lampiony w ogrodzie. Wiedzano, że z tych dwóch polskich podróżnych jeden jest sławnym poetą. Beyrut, leżący na szlaku orientalnych eskapad widział już innego poetę, który w opinii dam mógł się równać z pięknym, szczupłym, czarnowłosym i czarnookim Polakiem o przyciemnionej przez wiatry i słońce twarzy. Pan Alfons Lamartine jechał tedy w 1832 roku, w dwa lata po mianowaniu go ministrem pełnomocnym w Atenach. Ale w 1830, gdy wybuchła rewolucja lipcowa Lamartine podał się do dymisji, wrócił do Francji, kandydował na posła z okręgu Tulonu i Dunkierki — dwa razy, dwukrotnie ponosząc porażkę. Cóż więc miał czynić innego po tej nieudanej próbie służenia ojczyźnie? Jego „Podróż na Wschód” była czytana i modna.

Świt wstawał wcześnie. Prosto z balu odprowadził Holyński Juliusza na pokład okrętu, stojącego na kotwicy w pewnej odległości od brzegu; płynęli więc łodzią. Gdy się Juliusz wdrapał po sznurowej drabinie, którą mu zrzucano z pokładu, Holyński kazał wiosłarzowi powrócić na brzeg. Długo powiewał jeszcze białą chustką niemieckim obyczajem podróżnych. Tak się rozstali.

Po ośmiu godzinach nastąpiło jednak nieoczekiwane spotkanie. Okręt na którym



z raftiarza — rysunek Juliusza Słowackiego

płynął Juliusz do Livorno zatrzymał się w porcie Tripoli. Słowacki wysiadł na ląd, postój bowiem miał trwać dwa dni. Ponieważ nie było tu hoteli, więc jak to bywało w owe lata na wschodzie, udzielono mu gościny w klasztorze. Następnego dnia zbudził go lokaj Hołynskiego, który nie chciał ani chwili pozostawać bez Juliusza w Bejrucie, wyruszył natychmiast po jego odjeździe konno i nocował w Tripoli. Jakież to były czasy sentymentalne!

Obaj przyjaciele spędzili cały dzień razem. Wieczorem znów się rozstali, tym ra-

zem na dobre — Słowacki płynął do Włoch, Hołynski ruszył do Kairu, gdzie jego młodszy brat, Aleksander romansował z jakąś pięknością wschodnią.

Droga do Włoch została przerwana postojem na Cyprze. Od wyjazdu z Tripoli minęło dni czterdzieści — sześć tygodni na morzu. Juliusz obserwował gwiazdy przez pokładowy teleskop i widział jak w miarę posuwania się okrętu w coraz to inne układają się konstelacje. Czytał, grał w warcaby, a myślę, że nie mało spisał w swoich notatkach i papierach. Wioził prze-

cież sporo wierszy, pewnie część „Dziennika Podróży na Wschód”, na pewno skonstruowany już całkowicie rękopis „Anhellego”, którego tylko jeszcze trochę poprawi we Florencji, przed wysyłką do paryskiej drukarni.

Okręt mijął kolejno Sycylię, Elbę, wreszcie 17 czerwca przybił do portu w Livorno. Tu jednak nie wypuszczono pasażerów na ląd. Okręt powracający ze wschodu, gdzie panowały zarazy, stał na kwarantannie przez prawie miesiąc; Słowacki uwięziony na pokładzie, po wielomiesięcznej po-

droży, codziennie patrzył na ląd, na którym mu nie wolno było stanąć. Wreszcie 11 lipca termin kwarantanny się skończył. „Jestem w Livorno w tym samym hotelu, gdzie 14 miesiącami przedtem przebyłem trzy dni, jadąc połączyć się z Teofilami — ten sam dano mi pokój”. Na poczcie livor-neńskiej czekały go dwa listy wysłane na poste-restante: list od pani Salomei i list ze Szwajcarii, od Eglantyny Pattey.

Był w Europie.

Paweł Hertz

ANNA JAKUBISZYN

STENDHAL W DZIEJACH TEATRU

„Szczególnym zjawiskiem wydaje się stroniectwo romantyczne, gdy przyjrzyć się jego układowi. Ma ono jakby swą armię, oddziały lekkie i pancerne, skrzydło prawe i lewe, przyczym niekiedy dwa te skrzydła, nie rozpoznawszy się nawzajem, zwalczają się, jak podczas nocnych ataków. „Glob” może być uważany za główny trzon armii, nieco przyciężki, co, jak mówią, jest warunkiem siły. P. de Stendhal jest huzarem tego wojska; występuje zawsze śmiały, świetny, zadzierzasty, i jeśliby należało powiedzieć, kto zdecydował o zwycięstwie, pełne werwy ataki p. de Stendhal, czy też uczona manewry „Globu”, przypomniałoby sobie, że w naszych bitwach o losie dnia rozstrzygała często szarża kawalerii” — pisał w roku 1825, po opublikowaniu przez Stendhala drugiej części „Racine’a i Shakespeare’a” paryski „Kurier teatralny”, wyprzedzając znacznie późniejszą opinię Sainte-Beuve’a.

Pierwszy poważniejszy rozgłos, zdobyty przez Stendhala we francuskim świecie literackim, związany był z dziedziną teatru, choć nie w taki sposób, o jakim marzył niedoszły rywal Molière’a i Beaumarchais’ego.

„Chciałbym, by dzieła tego wielkiego człowieka — pisał o sobie samym dwudziestoletni Henryk Beyle — składały się z dziewięciu komedii, w pięciu aktach, wierszem; z ośmiu tragedii, w pięciu aktach, i z „Farsali” poematu epicznego w 12 lub 20 pieśniach. By cztery z tych tragedii były wzruszające, a cztery jak piąty akt „Rodoguny”...”

Wypowiedź ta nie jest jedyną w swoim rodzaju: od 18 do 30 roku życia Stendhal pracuje uparcie nad zdobyciem laureów drugiego Molière’a, upatrując w teatrze dziedzinę, która zapewni mu sławę i powodzenie. Płony tych wysiłków, wypełniające trzy pokasne tomiiki pełnego wydania dzieł Stendhala, to przede wszystkim niezliczone projekty, rzadziej szczegółowe plany, w końcu opracowane fragmenty komedii i dramatów. Pozbawiona wartości literackiej stanowią one cenny materiał jeśli chodzi o poznanie umysłowości Stendhala i metod jego pracy — w postaciach jego „Dwu ludzi” i „Letelliera” (dwu najbardziej wykonanych utworów, które najdłużej absorbowywały uwagę Stendhala, pamiętającego o nich nawet w okresie pisania swych arcydzieł powieściowych) — odnajdujemy zarówno rysy samego Stendhala, jak szeregu osób z jego otoczenia: modele, którym posługuje się przy kształtowaniu Juliana Sorel, Fabrycego del Dongo czy Lucjana Leuwena. I tak na przykład pisze Beyle o Karolu de Valbellu, jednym z „Dwu ludzi”: „W odmalowaniu Karola wielkim ułatwieniem będzie dla mnie to, że zrobię z niego do pewnego stopnia mój własny portret. Charakter jak choć mu nadać, nie był jeszcze odmalowany. Jest to oczarowanie, ogarniające młodego człowieka w wieku lat 20, którego rozwój cielesny był, jak to radzi Rousseau, opóźniony. Oczarowanie, jakie opanowuje tę duszę, młoda i nie-zepsuta, na widok szczęścia, którego w tej chwili upojenia wszystko mu dostarcza. Mimo to spostrzega on całe mnóstwo zła, jakie od-słoniła mu zima, którą właśnie spędził w Paryżu”.

W „Letellier” znów Stendhal zamierzał przedstawić „anty-filozofa, współczesnego Tartuffe’a, karykaturę konserwatywnych krytyków typu La Harpe’a i Geoffroy, których ten wielbiciel Shakespeare’a darzył specjalną antypatią. O jego własnych przekonaniach politycznych i literackich mówią także tytuły zaprojektowanych lub zaczętych sztuk, jak „Torquato Tasso”, „Brutus” czy „Hamlet” i „Obello”, w których chciał dać przeróbkę dzieł swego bożyszcza. Dodajmy nawiasem, że w jednej z wersji akcja szekspirowsko-stendhalskiego „Hamleta” rozgrywać się miała w „Polsce, w Warszawie, w czasach jaknajbardziej rycerskich”, przyczym główna postać figurowałaby pod imionami Bolesława (jak świadczy jedna z notatek, dając to imię zbrodnicemu stryjowi Hamleta, Stendhal, który interesował się historią Polski, miał prawdopodobnie na myśli Bolesława Śmiałego), Kazimierza i t. p.

Ten ukłon w stronę Shakespeare’a nie jest jedynym momentem, który w Stendhalu-dramaturgu zapowiada teoretyka teatru romantycznego — obok fragmentów, pisanych klasycznym aleksandrynem (czytając je, pojmujemy awersję Stendhala do poezji) — znajdujemy pod tytułem „Hrabina Sabaudzka” szkic typowego dramatu romantycznego, tym ciekawszy, że wyprzedzający chronologicznie inne, bardziej znane próby w tym zakresie. Jako podstawa posłużyła tu powieść pod tym samym tytułem, opisująca romantyczne przygody

średniowiecznej pary kochanków, która wzburzyła już swego czasu zainteresowanie Voltaire’a — Stendhal rozbił całą akcję na szereg scen, traktując oczywiście problem miłości i czasu po szekspirowsku, oraz zmienił pomysły zakończenia na odpowiednio krwawe, w guście „Hernani’ego”. W uwadze zaznaczył: „Przeprowadzić wszystkie sceny z całą romantyczną swobodą, zachowując jedynie wierność wobec natury”.

Te słowa streszczają w znacznej mierze program literacki Stendhala, a zarazem charakter swoistego romantyzmu, reprezentowanego przez autora „Racine’a i Shakespeare’a”.

Nie tylko zresztą przez niego.

Henryk Beyle, który jako dziesięcioletni chłopak szalał z radości na wieść o śmierci Ludwika XVI, całe życie pozostał wierny liberalizmowi, i z tego już tytułu nie wiele miał wspólnego z tymi kołami literackimi, które nowatorstwo w literaturze łączyły ze światopoglądem monarchistyczno-katolickim, a więc z najbardziej reprezentatywnym odłamem romantyzmu francuskiego, identyfikowanym często — i niesłusznie — z ruchem romantycznym w ogóle. Bo romantyzm francuski w okresie najzacieśniej walki z pseudoklasyccznością, który przypada na drugi i trzeci dziesięć XIX wieku — to nie tylko poetyczni młodzieńcy, odwołujący się do Karola No-diera w salonach Arsenału, pisujący do „Muzy francuskiej” (1823/4) i tworzący słynny „Cénacle”, na czoło którego wysuwa się Wiktor Hugo, daleki wówczas jeszcze od przekonania, mającego zaprowadzić go na drogę wygnania.

Obok nich istnieją romantycy — liberałowie, spadkobiercy racjonalistycznych i postępowych tradycji XVIII wieku, którzy od pierwszej chwili uważają rewolucję literacką za naturalną konsekwencję rewolucji społecznej. Zbierają się oni w domu Décluse’a (krytyka i autora ciekawych „Wspomnień z lat sześćdziesięciu”), pastora Stapfiera i Viollet-le-Duca, a oficjalnym ich organem jest od roku 1824 czasopismo „Glob”, które odegrało niemałą rolę w wypracowaniu teorii romantyzmu francuskiego i cieszyło się między innymi, uznaniem takich ludzi jak Goethe i Mickiewicz.

Założyciel „Globu”, Paweł Dubois, profesor licealny (wychowankiem jego był Sainte-

Beuve, który również debiutował w „Globie”), usunięty z posady ze względu na swe przekonania, tak określał w „prospekcie” cele tworzonego pisma: „Wolność i poszanowanie smaku narodowego. Nie będziemy przyklaskiwać tym szkołom germanizmu i anglicyzmu, które zagrażają nawet językowi Racine’a i Voltaire’a, ani też nie ułknimy się akademickich anatem przestarzałej szkoły, która powołuje się nieustannie na chwałę przeszłości, by ukryć nędzę teraźniejszości, i uznaje tylko trwożne trzymanie się tego, czego dokonali wielcy mistrzowie, zapominając, że wielcy mistrzowie byli wielkimi jedynie dlatego, że byli obdarzeni duchem twórczym”.

Jeszcze wyraźniej precyzuje stanowisko „Globu” jeden z jego współpracowników, Vi-tet, w głośnym artykule z roku 1825 p. t. „O niezależności w dziedzinie smaku”. „Nasz porządek społeczny i obyczaje zostały odmłodzone, myśl wyzwolona, rząd ukrócony, jednym słowem filozofowie wygrali swój proces, lecz jedna sprawa, o której zapomnieli, pozostaje nadal w zawieszeniu: strony sta-wiły się, a sąd każe na siebie czekać... smak oczekuje jeszcze we Francji na swój dzień 14 lipca. By przeprowadzić tę nową rewolucję powstał nowy encyklopedysta, których mi-niśmy romantykami. Jako spadkobiercy niedok-tryny, lecz roli swych poprzedników, wystę-pują oni w obronie wolności, zbyt długo lek-ceważonej, a która jest jednak nieodzownym uzupełnieniem wolności jednostki — wolności w dziedzinie smaku. upominają się oni tylko o to, by każdy Francuz, obdarzony rozumem, miał prawo bawić się tym, co mu sprawia przyjemność, wzruszać się tym, co go wzru-sza, podziwiać, co mu się wydaje godne po-dziwu. Tym jest romantyzm dla tych, którzy pojmują go w najszerszym i najgłębszym znaczeniu, albo lepiej mówiąc w sposób filo-zoficzny. Jest to, jednym słowem, protestan-tyzm w dziedzinie literatury”.

Do tych, protestujących przeciw jarzmu reguł, bezczasowości i abstrakcyjności literatury pseudoklasyk, a przede wszystkim jej skariowacalnych epigonów, należał i Stendhal, mile widziany i ceniony gość salonów romantyczno-liberalnych, przepojony poglądami „romantycyzmu” włoskiego, pełen podziwu dla Shakespeare’a, zachwyty dla Byrona,

którego poznał osobiście, i uznania dla Manzoni’ego.

Stendhal powraca do Francji w roku 1821. W rok później skandal z aktorami angielski-mi, którym w imię klasycyzmu i szowinizmu uniemożliwiono publiczne występy, skłania go do publicznego zabrania głosu w obronie Shakespeare’a i jego zwolenników. W 1823 roku trzy, opublikowane przez niego w tej sprawie artykuły, wydane zostają w osobnej broszu-rze p. t. „Racine i Shakespeare”, który jednak nie wywołuje silniejszego oddźwięku. Znaczny rozgłos zdobyła dopiero druga rozprawka pod tym samym tytułem, napisana w odpowiedzi na ostawione wystąpienie antyromantyczne dyrektora Akademii. Auger. Obie te wy-powiedzi tworzą całość myślową, stanowiąc jeden z ważnych manifestów romantyzmu w dziedzinie teatru, a więc tej, która była przedmiotem najzacieśniej starć.

Stendhal już w roku 1817, w swej „historii malarstwa włoskiego” stał wyraźnie na stanowisku — jak wielu innych romantyków, począwszy od pani de Stael, — że zmianie warunków społecznych towarzyszy zmiana upo-dobań, a co za tym idzie — zmiana produk-cji artystycznej, a więc i literatury. Oto jak objaśnia to w I-ej części „Racine’a i Shakespeare’a”:

„Trudno różnić się bardziej niż my od mar-kizów, przyodzianych w haftowane stroje i wielkie, czarne peruki, kosztujące tysiąc talarów, którzy około roku 1670 sądzili sztuki Racine’a i Molière’a.

Ci wielcy ludzie starali się dogodzić sma-kowi markizów i pracowali w myślą o nich.

Twierdzi, że obecnie pisać należy tragedie dla nas, młodych ludzi krytycznych, poważ-nych i nieco zazdrosnych z roku pańskiego 1823. Tragedie te powinny być pisane prozą. W naszych czasach aleksandryn bywa często jedynie okryty-głupstwem („cache-sottise”).

Tak więc, w imię zasadniczych zmian wa-runków społecznych („Za pamięci historyka żaden naród nie zaznał w swych obyczajach i rozrywkach bardziej nagłej i całkowitej zmiany niż ta, która nastąpiła między 1780 a 1823”). Stendhal upomina się o nowy teatr romantyczny, przyczym określenie to ma pod jego piórem specjalne znaczenie. Romantyzm jest dla niego „umiejscowieniem dostarczenia lu-dziom dzieł literackich, które w danym stanie ich obyczajów i wierzeń sprawić im mogą możliwie największą przyjemność”. Z tego tytułu i Dante, i Shakespeare, i nawet Racine byli romantykami, gdyż odpowiadali gustom swej epoki: sympatie współczesnych i własną dla Shakespeare’a, tłumaczy Stendhal podo-bieństwem między stosunkami i atmosferą porewolucyjnej Francji i elżbietańskiej Anglii. Nie poleca zresztą wcale ślepego naśladowstwa Shakespeare’a: „W tym wielkim człowieku naśladować należy jego sposób studiowania ludzi, wśród których się żyje, i umiejętność dostarczania współczesnym włas-nie takiego rodzaju komedii, jakiego potrze-bują”.

Dla Francuzów, którzy przeżyli rewolucję i erę napoleońską, takim rodzajem sztuki jest — zdaniem Stendhala — tragedia o tematyce narodowej, osnutej na faktach historycznych, wolna od tyranii trzech jedności, realistyczna i napisana prozą.

Koncepcja Stendhala jest zdecydowanie realistyczna — nie darmo dewizą „Globu” i ca-łej skupionej wokół niego grupy intelektualistów, była „Wolność i prawda” — i rzuca charakterystyczne światło nie tylko na Stendhala, ale na romantyzm jako na epokę, która wcale nie przypadkiem zrodziła autorów „Czerwonego i czarnego” oraz „Komedii ludzkiej”.

Postulat realizmu w teatrze, postawiony przez Stendhala, nie od razu doczekał się urze-czywistnienia (o ile pominiemy „Teatr Klary Gazu” Merimée’go i „Wieczory w Neuilly” Cave’go i Dittmera, które ukazywały się w for-mie książki z portretem Stendhala na okład-ce) — narazie zwalczając klasyków Stendhal torował drogę zwycięstwu romantyków w „bitwie o „Hernani’ego”, chociaż ten typ dramatu, par excellence romantyczny, w potocz-nym słowa tego znaczeniu, bardzo znacznie odbiegał od jego postulatów.

Stanowisko Stendhala znalazło pełny wyraz w jego powieściach — realizm w dziedzinie teatru miał stać się dopiero osiągnięciem następnych pokoleń, co nie umniejsza wagi „Racine’a i Shakespeare’a”, jako jednego z ogniw myśli ludzkiej, dążącej do historycz-nego i socjologicznego rozumienia literatury.

Anna Jakubiszyn.

JERZY MILLER

WISŁOSTRADA

Rozety, ostrołuki
zamurowanej katedry
powieki cieniem Wisły pulke
poręczy zasnuwając pręty.

które przed zejściem do pustej
łódki za stały abonament
często muslin muskał
jej ręki wypielegnowanej.

Nurt napływa żwirem
w basenów bocznicę czarne
i wrzawa blaszanych syren
imituje spazm alarmu.

Ogród działkowy przerósł
stok cytaadel ugorem,
lecz aby zakwitł sporysz
skopano grunty skwerów, —

pomnik ekshumowanego iksa
Pośród zasieków, w bunkrze
i podskórny okopu zygzak
pod batutą lat ugrzązł.

Mlecze autostrady białej,
do Białej pędziły auta,
pod dachem barwy akantu
kioskarz trwał jak zelan

nieruchomo, jakby garbem
odecisnął się przewoźny bufet,
lemoniady rozlewał farbę,
upał podszeptował jak sufier.

Wagonikami koksu zgrzyta
gazowni grzane wnętrze,
kół wybiła kopytem
na nawierzchni półkola, obręcze

i w modulacji pogody
modlą się zręby ulic
ściśnięte w martwej przyrody
zmartwiałe lica natury.

Po moście sanitarne
sunęły pociągi - trumny
aż widnokręgi brama
zgrzytanie kół ogami.

Jaskółki w głąb oparu
wślizgiwały się kofując —
tam widywałem pary.
Szli przytuleni ciasno

z kocem zwiniętym w rulon,
wpatrzeni w nurtu kosmyk.
Czas dla nich winien zasnąć
w oddechu płowej wiosny.

— Wtedy strzały z za węgla
magazynu rozcięły szyny.
Upuszczone bryły węgla
w ślepych zautkach krwawiły.

Na tle szyby zasznurowanej
krzyżem papieru, roletą
ogrójca cień przy kocięcie stanął
słów nasypawczy poetom.

Wraz ze śmiercią, naturalnym końcem
wszystkiego życia, wracam
wstępując w zachodzące słońce
miasta, które zatracza.

Za cytadelą, ponad
katedry strzelistym łukiem,
noc poczerwiała jak kobalt
skalny w bezruchu.

LUCJAN RUDNICKI

NIENAWIŚĆ KLASOWA

CZULEM się znacznie lepiej niż w Sulejowie, zachwycałem się techniką i odczuwałem szacunek do ludzi, którzy nią kierowali. Tym bardziej, że traktowano mnie przychylnie.

Z czasem jednak zacząłem spostrzegać ciężkie położenie towarzyszy, obarczonych rodzinami, widziałem starych robotników, po pięćdziesiątce, usuwanych z pracy przy ładzie pretekście, dowiadywałem się o faktach wyrzucania innych na bruk bez wymówienia, za to, że byli „za mądrzy”. Nie tylko wypadek przy pracy, ale nawet kilkudniowa choroba, urodziny, śmierć sprawowały ciężką niedolę z następstwami odczuwalnymi całe lata.

Towarzyszowi Trepce umarła siemioletnia córka po półrocznej chorobie. Na pogrzeb zadłużył się między kolegami i obciążył znacznie kredyt w sklepie spożywczym. A tu wkrótce zachorowywała żona. Sprowadzony „starszy felczer” stwierdza „galopujące suchoty”, na które nie ma rady. Na lekarstwa szkoda pieniędzy. Rozumiemy to wszyscy. Sprawa toczy się naturalnym biegiem. Powolnie, wcale nie „galopując” zamierająca matka obsługuje dwoje drobnych dzieci. Nowy pogrzeb znacznie kosztowniejszy, na nowo utrata trzydniowego zarobku. Zbiórka przez sąsiadki „co laska” na całej uliczce przynosi trzy ruble. Towarzysze i koledzy w pracy radząby pomóc, ale nie wiele mogą. Wstydzie się swego świątecznego garnituru, spinek i jedwabnej chusteczki. Wzrusza mnie głęboko wspomnienie widoku trzyletniego Józka z garnuszkiem wody, której jego matka już nie potrzebuje. W bezradności groźne niebu pięścią, śmieje się ze swej naiwności i powoli, powoli wylania mi się sprawa robotnicza w całe nagoci.

Niedługo osobiście staje w kolejce ciężko pokrzywdzonych. W cztery miesiące po Wielkanocy, w sierpniu dostaje wiadomość o śmierci ojca. Po radosnych przeżyciach świątecznych nie może pojąć tej wieści. Zapiakana rodzina i przyzma żółtego piasku z sosnową pasyjką na jej szczycie nie wiele wyjaśnia. Maci mi się w głowie jakbym na nią upadł. Ból i gniew. Ciągnie mnie do rozgrzebywania piasku...

— Bóg tak chciał — tłumaczy matka w zupełnym upokorzeniu.

— Kto, kto?! — krzycze obłędnie, wyciągając ręce z rozczepionymi palcami, jakimś chciał chwycić za kark sprawcę tej zbrodni. Matka się cofa w przerażeniu.

— Przeżegnaj się... Diabeł cię, w imię ojca i syna i ducha świętego, opętał. Nie bluźnij...

Ojciec zmarł nagle przy pracy z nieustalonego powodu, ale sekcji matka nie chciała, bo „po co go mają krajać”.

Zostaliśmy w siedmiorgo z trzymorgowym polem, zarosniętym jak przystało na „ślachecką” ziemię, perzem, ostami i ognichą. Drewnianą chałupę, ledwie wybruszoną z frontu, nakrywał czepiec postrzępionego gontowego dachu. Spróchniały kołmin pochylał się ku kościolowi. Za drzwiami z drewnianym szkobem, w przedśionku z podłogą polataną glazami, pachniało barszczem i myszami: zwykły obywatelski dom, „szczupły, ale własny”.

Jako najstarszy męski sukcesor obowiązany byłem osiąść na gospodarce. Oczekiwano tego po mnie. Zawiodłem tych, którzy dobrze o mnie mniemali, nie wyłączając najbliższych.

Matka, „obywatelka z obywateli”, rezolutna przy ojcu, przejawiała pokorną bezradność. Zaraz na wstępie zastawiła pół „dziółka” u sąsiada. Drugi po mnie brat, lepiej rozwinięty fizycznie, znalazł opiekuna w krowalu, trzeci poszedł do szewca, czwarty akurat nadał się gajowemu do pasania krow. Dwoje najmłodszych z matką, na razie, nie nadawali się do żadnej służby i przeszli automatycznie na moje utrzymanie.

Przyrzekłem pięć rubli miesięcznie i dostrzymywałem słowa, ale zupełnie zmienił mi się świat i ja sam stałem się w nim inny. Pod ciężarem nieoczekiwanego obowiązku nabrałem zewnętrznej powagi, poruszałem się wolniej, stałem się bliższy starszym kolegom i towarzyszą w pracy. Matka nie mogła się dość naklepać pacieryzki dziękczynnych i błagalnych o dalszą opiekę niebieską nade mną. Powiadała mi o tym w każdym liście, potwierdzającym nadejście przekazu. Miała czas, i uważała to za bardziej celowe niż tepienie chwastów w polu. Dała nawet rubla na wotywe z intencją mego oświecenia. Ale diabeł też nie spał. Ulegałem coraz większej demoralizacji. Wielka niesprawiedliwość, dokonująca codziennie przez znanego kapitali-

stę, ze znanego pałacu rękami jego podwładnych, wołała o przeciwdziałanie. „Wielka polityka” przestała mi zasłaniać oczy na codzienną przemoc. Na dyrektora Lukembacha patrzyłem tak samo jak na komisarza Jegorowa. Nie miałem wątpliwości, że obaj pracują jednakowo gorliwie dla cara i Kunitzera. Po wychłostaniu robotnika z przedziału za „krnąbrność” postanowiłem zastrzelić jednocześnie obu. Fakt ten zamoczył mój umysł: odrzuciłem wszelkie dotychczasowe obowiązki jako mniej ważne. Gdy „sumienie” przypominało matkę tłumaczyłem mu, że są pokrzywdzone matki, które wcale synów nie mają.

Do zamachu nie doszło. Kierownictwo partyjne uważało mnie widocznie za zbyt młodego (osiemnasty rok), Ludwik Siedziński, kilka lat starszy, szeptał mi na naradzie w widzewskim lesie:

— Są ważniejsze lotry. Wasze życie więcej warto niż cała sfora takich kundli. — Uciecie się. Partii potrzeba wyrobionych ludzi, zdecydowanych na wszystko. Niedługo przystąpimy do szerszego ataku.

Przemysli łódzki przechodził wtedy poważny kryzys ekonomiczny ze wszystkimi ciężkimi następstwami dla pracujących. Mniejsze przedsiębiorstwa wstrzymywały produkcję, lub ograniczały ją, duże redukowały płace wszelkimi sposobami nie wyłączając dotkliwych kar za pozory nawet naruszania przepisów pracy.

Łódzki Komitet Robotniczy wydał odezwę, która idąc z ręką do rąk działała na nas jak depesza zawiadamiająca o nadchodzącej zmianie istniejącego porządku. Partia czuwa i szykuje się do akcji, należy bronić się wszelkimi sposobami i wytrzymać.

Wytrzymywaliśmy zawsze, ale jednostkom z większą energią to nie wystarczało. Pow szechnie żądano przejścia do ataku. Toteż byliśmy głęboko uszczęśliwieni, gdy specjalny wysłannik zawiadomił nas, że znaczna część działaczy partii nie zgadza się z dotychczasowymi sposobami walki i szykuje się do bardziej energicznej akcji: „Na gwałt odpowiemy gwałtem. Nie będziemy bierni PPS, lecz czynną Polską Partią Socjalistyczną „Proletariat”. Bez chwili namysłu poszedłbym był z tym dziełem i pięknym towarzyszem na wszystko. Na razie jednak nie ruszaliśmy jeszcze do bezpośredniej akcji. Chodziło tylko o przeorganizowanie się i uzbrojenie. Powtórzyłem bojowy referat na kilku swych kołach i czekałem na broń. Było w fabrykach kilku bezprzykładnych łotrów do uprzątnięcia. Zastrzeżenie choćby jednego, czuliśmy, mogło mieć wielki wpływ na bieg dzieł.

Niestety, historii się nie śpieszy, wlecze się z tyłu za dojrzałymi koniecznościami, załatwia je, przynajmniej dla przodowników, z dużym opóźnieniem, a czasem okrąża tylko i śpiesząc naprzód do ważniejszych spraw na długo pozostawia bez rozwiązania. Rewolucjonista z „Proletariatu” nie zgłosił się więcej w Widzewie. Może go aresztowano, może się pogodził z istniejącym programem, a może nawet po prostu nie miał za co przyjechać. Co gorsza dłuższy czas nie pokazywał się nikt ze starej organizacji i ludzie słabszego ducia zaczęli wątpić w ogóle o istnieniu partii. Ciężko się zrobiło nie tylko u nas ale w promieniu naszego oddziaływania: u Kindermana, Zylbersztajna, Scheiblera. Czuliśmy się jak rodzina poważnie chorego, oczekująca spóźniającego się lekarza: „A jeżeli wcale nie przyjdzie?”

Hitlerowcy, napadając na Związek Radziecki, ludzili się, że będą mieli do czynienia po staremu z dobrodusznym chłopcem rosyjskim, uzbrojonym w dębek. Tuż za Mińskiem po pierwszych „błyskawicznych” upojeniach poznali swój błąd. Korespondenci wojenni „Beobachtera” donosili na całych szpaltach o nadzwyczajnej „demoralizacji duchowej „Russów” spowodowanej komunizmem. Nie ma Rosji, pisali, jest bolszewia i nie ma Rosjan, lecz potwory nienawiści bolszewickiej.

Początki tej „demoralizacji” dawały się mocno odczuwać w Łodzi już przed pół wiekiem, a kryzysowe ataki kapitalistów stale je pogłębiały.

Zaraz po pierwszym zetknięciu się z ideą socjalistyczną patrzyłem na znanych sobie fabrykantów i ich służbę z wysoka, z uczuciem politowania, jak enotliwy biedak katolicki na rozpustnego bogacza: „Cóż z tego, że ci się dobrobyt po brodzie leje, kiedy go na „tamtym świecie” nie zabierzesz”. Teraz, pod wpływem pogłębiającej się nędzy i pomocy oraz wzrastającej świadomości, że można ją usunąć, pojęcie kapitalizmu formowało się w wyobraźni i uczuciach w konkretnego potwora, a poszcze-

gólni kapitaliści stawali się prawie osobistymi wrogami. Już nie politowanie nad „nędzą”, która nie dozna raju, lecz nienawiść do samolubnego tępaka, zagrażającego drogę do szczęścia.

Mimo kryzysu wystrzeliwały pod niebo nowe kominy fabryczne i powstawały nowe komórki rewolucji. Kierownicy ideowi żyli w stałej trosce o działaczy społecznych i niezbędne dla nich środki. Ruch przekraczał ich możliwości i rozlewał się bezkontrolnie na cały kraj. Nawet defensywa carska, zasobna w pieniądze i rozporządzająca sztabem wyspecjalizowanych funkcjonariuszy utonęła w żywiołowym ruchu i zamiast hamować wzmacniała go działalnością swych ludzi. W roku 1906 Polska Partia Socjalistyczna rozwiązała całą organizację bojową w Łodzi, bo nie można było odróżnić ideowca od bandyty. Już od roku 1900 ani partię ani żandarmeria nie wiedziały, ilu jest rewolucyjnych agitatorów w mieście. I „ochrona” i partię nie zaliczały do nich prowokatorów, którzy jednak w propagandzie rewolucyjnej odegrali dużą rolę. Nie wiem do dziś kto mi pomagał: partia czy żandarmi, stało się jednak, że w końcu kwietnia zacząłem pracować w fabryce Zylbersztajna, mieszkając w śródmieściu i znalazłem się jednocześnie w centrum ruchu i prowokacji.

W porównaniu z tym co było w Widzewie, czułem się magnatem. Z początku, przy starych wymaganiach, było z czego pomóc matce i żyć dostatnio. Ale najrozmniejszemu młodzieniec nie umie się oprzeć najgłupszemu popędowi. Opanowuje go wstrętny snobizm, robi wszystko ponad stan i w ogóle staje się stworzeniem wątpliwego pochodzenia. Nagle spostrzegam, że moje znakomite kamgarny w nowych warunkach zaledwie do roboty się nadają. Trzeba było pomyśleć o ludzkim ubraniu. Na chodzenie latem w kamazach z rozciągniętymi gumami przy modnych wąskich spodniach mógł sobie pozwolić chyba tylko jakiś „dzwoniec” z Tuszyńska. Konieczne były prunelki, zapinane haczykiem na guziki. Zresztą, nie drogie, przechodzone można było nawet za rubla dostać. Mój piękny brązowy kapeluszyk sterczał mi na rozwierzonej głowie jak „dęciak”, nie trzymał fasonu pieroga nawet po pięciu szpilkach. Mógł być ostatecznie do roboty, ale nie na niedzielę. No, a czy ktokolwiek w tym czasie, z poczuciem smaku, mógł sobie wyobrazić człowieka w prunelach i bez rękawiczek? Ten zewnętrzny błękit siedł w parze ze snobizmem umysłowym. Każdego żółtodzioba, gdy jest odziany jak trzeba, ciągnie do pokazania się w kawiarni, w teatrze, na koncercie.

Nie wystarczała mi już „Gazeta Świąteczna” więc zapnumerowałem wspólnie z kolegą „Rozwój”, bezpośredni i pośredni powód dalszych rujnujących wydatków i demoralizacji. Świeża farba dziennika podniecała umysł i napędzała nieokreślonymi tęsknotami do wiedzy i jej piękna. Wzrósł mnie sam zapach. Zresztą, zaznałem już tej rozkoszy przy kupnie „Wypisów Polskich” w Piotrkowie u Poznańskiego, potrzebnych mi w trzecim oddziale sulejowskiej szkoły. Nie wiem co bardziej czarowało, zapach włosów ukochaney, czy farba dziennika łódzkiego. Iście freudowski kompleks, ale skąd. Ach ten „Rozwój!”. Sprawozdawca teatralny bardzo pochlebnie opisał w nim wystawienie „W sieci” Kisielewskiego. Kubacki był zawsze gotów, co tam dla niego czterdzieści groszy, a ja nie umiałem zapanować nad sobą. Pocięszalem się, że to tylko raz, ale sztuka mnie uwiodła bardziej niż Jadzia na Wólczańskiej i zaczęła do innych przedstawień. Psulem też innych. Gdy „odegrał” barona, polowa sulejewiaków u Franka Skrobińskiego postanowiła pójść zobaczyć oryginał. Wiedziałem co słyszał na świecie, zrobiłem się znawcą. Na koncert Barcewicza i śpiewaczki (nie pamiętam jej nazwiska) i uwił mi w gardle przymiotnik „jakiejś”, bo to była wielka artystka) idziemy całą gromadą z biletami po pół rubla! Koniec świata!

Rozszerzały się potrzeby, rosły wydatki i w tych warunkach, nawet przy znacznym ograniczeniu diety, pomoc dla matki bardzo się skurczyła. Złota pięciorublowka wzbudzała teraz nie radość lecz rozdrażnienie. Były wypadki, że trzeba było puścić w ruch wszystkie hamulce, aby nie rzucić tygodniówki w twarz wypłacającemu majstrowi. Widział on to i jego nieufność do mnie przekształcała się we wroga niechęć. Godność majstrowską celebrował z nieodściągniętą akuracnością stary Niemiec. Był to automat, reagujący na każde zjawisko pracy nieodmiennie jednakowo jak fotokomórka. Na „wikieł” — stolach wszystkie potrzebne przedmioty, musiały leżeć

na miejscu wyznaczonym z góry raz na zawsze. Do każdej funkcji trzeba było stać przepisowo. Stosowałem się do tego, gdy byłem na oku, poza tym pracowałem po swojemu, przedzi.

Szef traktował mnie nieufnie od pierwszego spojrzenia. Moja powściągliwość śmiałość przeszła mu cieniem zmarszczek po czoło. Naturalny swobodny wyraz twarzy urażał namiestnika samowładnego kapitalisty. Dobry robotnik w owym czasie to całkowita duchowa bezwładność i pokora, a to się uzewnętrznia w całej postawie.

Początkowo podporządkowałem się całkowicie niepisanej regulaminowi, włączając z pozdrowianiem władzy, stałe nie widzące tego aktu. Byłem częścią niezróżniczkowanej całości. Stopniowo z tygodnia na tydzień w ciągu pół roku wyłoniła się opozycyjna jednostka. Zwały oddziały kilku nastu uświadomionych działaczy solidarni, a członkowie jego sygnalizowali sobie wzajemnie każde zbliżające się niebezpieczeństwo. Nie uchodził naszej uwadze żaden ruch majstra w oszklonym kantorze. Oczywiście z tego powodu znacznie się przychyliły. Odczuwał on to, ale nie był pewny źródła przyczyny, bo kilku najlepszych robotników wyraźnie zhardziało.

Majster, znany ze sfinksowego humoru, unikał teraz zupełnie naszego wzroku, prowokował nas karami pieniężnymi i nękał nieustannie zarzutami. Nie mogłem na chłodno myśleć o nim. Takiej nienawiści, jaką wzbudzała we mnie ta zasuszona cnota wiernego sługi nigdy już w życiu nie zaznałem. Gdy przechodził, powietrze mi przy nim śmiedziało. Mógłbym go być za deptać z obrzydzeniem, jak szczura, i to uczucie podsunęło mi trucielijską myśl.

Córka przynosiła mi codziennie śniadanie i zostawiała je na oknie klatki schodowej, między pierwszym a drugim piętrzem. Stało ono tam nieraz kwadransami. Zbiegając na dół, stawałem przy barierce z kawą badając czy zdąży podnieść pokrywę i nałożyć ją z powrotem po wysypaniu truciizny, zanim ktoś, idący z góry lub z dołu, zauważył mnie przy tym. Pokrywka ku mej radości zdejmowała się lekko. Momentalnie i bez żadnego odgłosu można było podsytać pieprzu temu wrogowi ludzkości. Tak właśnie myślałem z bijącym sercem: „zapieprzyć go ostatecznie”.

Codziennie w czasie śniadaniowym zbiegałem na dół i codziennie biło mi serce jakbym szedł do rzeczywiście akcji. Gdy jednego dnia dostawa kawy się spóźniła, schodziłem na dół trzy razy i majster zwrócił mi uwagę z charakterystycznym dla niego jadłowitym skrzywieniem, że trzęce czas i że on mi to policzy. Tak byłem przejęty swą akcją, iż jego skrzywienie po raz pierwszy było mi obojętne. Najważniejsze, że kawa się tylko spóźniła i w swoim czasie będzie go mógł napić. Patrzyłem na „szczurę” raczej z politowaniem.

Tymczasem po obiedzie tego samego dnia przez salę przebiegł sygnał o nadzwyczajnej pokucie. Szykowało się coś bardzo „wrednego”. Głównym wejściem wchodził szef całej wykańczalni Zimnowoda w asyście majstra i policjanta, sterczącego zwykłe w portierni.

Stanałem w bezruchu jak inni i już nie dokończyłem rozpoczętej czynności, bo właśnie misja szła wprost do mnie, a majster z wyrazem władczej pewności wyciągał na pewniaka całą szufladę ze stołu.

— Oto jaki jest z niego robotnik!

Ku przykremu zdziwieniu nie karygodnego nie znalazłem.

— Zabierać swoje rzeczy i do kantoru.

Czy dokonaliśmy projektowanej zbrodni? Nie wiem, bo kilka razy w życiu w ważnych sprawach nagle w ostatniej chwili, wbrew dłuższemu przygotowywaniu, zmieniałem postanowienia.

Wkrótce ochłoniłem z czadu i wdzięczny byłem losowi, że mi oszczędził cierpienia, a być może i kurtki katorżniczej za kryminalny czyn. Teraz, idąc ostatni raz kolo okna, na którym stawiano kawę, byłem nieprzytomny z gniewu: „Nie tylko lotr, ale i szpieg!”

W kantorze wypłacono mi należność za przepracowane ostatnie trzy dni i pokazało drzwi:

— Dość! Takich nam tu nie potrzeba! Podciemniało w oczach od niewagi i bezsilności. Puściły wszystkie hamulce. Wyrzuciłem pięść w stronę pełnomocników kapitalisty:

— Pójdźcie stąd niedługo do cholery! — Ja tu wróce!

Czekałem na powrót czterdzieści trzy lata. Nie, nie czekałem.

Zdobywałem w ciężkim trudzie pozycję po pozycji...

Lucjan Rudnicki

ANDRZEJ STAWAR

O LUCJANIE RUDNICKIM^{*)}

AUTOR zarazem i bohater książki przyszedł na świat w jednym z miasteczek stanowiących pozostałość społeczno-ustrojowego przekładu dawniej Rzeczypospolitej. Ludność ich zaliczana do mieszczań utrzymywała się w zasadzie z drobnych gospodarstw rolnych, — zajęcia miejskie, jak rzemiosło, handel wykonywała głównie żydowska część mieszkańców. Osiedla te niekiedy miały za sobą okres rzeczywistego życia miejskiego w dawnych latach i podupadły, przeważnie jednak nie zdołały się nigdy rozwinąć w miasta — pozostały dużymi wsiami. Niemniej ich mieszkańcy wynosili się nad okolicznych chłopów, wyróżnieni przywilejem w ustroju feudalnym bezczynnym — wolnością osobistą. Przypominali inną osobliwość struktury społecznej dawnej Rzeczypospolitej: szlachtę zagonową. Po zniesieniu pańszczyzny istotne różnice upadły — pozostał osad tradycji i przyzwyczajęń, dość trwałych zresztą. Po r. 1863 rząd carski zlikwidował około 300 tych „miast”, zamieniając je w osady i zrównując z wsiami, co zresztą społecznym skutków nie miało.

Lucjan Rudnicki, urodził się w r. 1882 w rodzinie czeladnika młynarskiego, posiadającego trzymorgowe gospodarstwo. Dzieciństwo typowe dziecka chłopiejskie. Jako pierwszy, ledwie wyszedłszy z niemowlęstwa musiał on już niańczyć i opiekować się młodszym rodzeństwem, którego wciąż przybywało. Rodzice mieli sześciu dzieci. W piątym roku życia przeszedł do zajęć odpowiadających, pasąc gęsi, a później krowe, zbierając opał w lesie itp.

Najślisznie przeżył dzieciństwo stanowiąc niewątpliwie epidemia cholery, która spustoszyła miasteczko rodzinne. Poprzedzała ją nieurodzaj i głód. Jest to epoka „Rodziny Polanieckich”. Zestawienie wcale nie przypadek — na tym właśnie nieurodzaju zrobił dobry interes Polaniecki, co mu pozwoliło odkupić gniazdo rodzinne żony. W powieści mowa o nieurodzaju w Cesarstwie, ale nieurodzaj i głód miał miejsce również w Kongresówce. Część krytyki zarzucała Sienkiewiczowi znieczulenie moralne, — Polaniecki został przedstawiony, jako typ pozytywny. W istocie mamy tu mechanikę ustroju — w klasach społecznych, biedny zamykał się i ginął, bogaty bogacił się.

Mówi się — literatura daje obraz życia, rzeczywistości społecznej. Dawała go jednak przede wszystkim od strony Polanieckich. Pełniejszy obraz rzeczywistości społecznej otrzymamy, gdy spojrzymy na fakty od strony Rudnickich i tych sulejowskich rodzin, które ginęły od działania tych samych czynników, które Polaniecki bogacił.

Tak czy owak, po wspomnianych „znachach” w Sulejowie, po zimie tym sroższej, że bez jada, gdy co biedniejsi krzepili nadwątłe siły zbieranymi na miedzach lebiadą i mleczem, spoglądając tęsknie na wyrastające w polu żyto, przyszła epidemia zabierająca w trzytygodniowym miasteczku po kilkudziesięciu ludzi dziennie. Obraz walki z zarazą prawie średniowieczny — rozpalone stopy jałowca na rynku, dźwięk dzwonów, zamykanie, modły — nowoczesny moment stano. W przecie szafowanie karbolem przez sanitariuszy i owa „choleryczna arbata”, która poleca się pić. Zaraza przyniosła jednak Rudnickiemu pierwszy pakiet druków: ściągnął je ze stosu, na którym palono część dobytku pozostałego po zmarłym na cholere proboszczu.

W ciągu czterech zim, bo cieplejsze pory roku wypadło spędzać przy produkcyjniejszych zajęciach, poczynając od dziewiętego roku życia Rudnicki skończył czteroodziałową szkołę sulejowską z odznaczeniem. Przez kilka miesięcy był pomocnikiem mularskim, a następnie z górą rok terminował u stolarza. Marząc od dziecka o wielkim mieście nie wytrwał w terminie, przeniósł się do Łodzi. Pracując jako robotnik w Wilejskiej Manufakturze. Po miesiącu pracy, zostaje członkiem Kola Polskiej Partii Socjalistycznej (wiosna 1898 r.). Na Sylwestra w roku 1901 przypada pierwsza żandarmowska rewizja. Późniejsze koleje życia podobne jak u innych rewolucyjnych robotników. Na wiosnę 1903 r. zostaje aresztowany, a po półtorarocznym więzieniu w Piotrkowie i Sieradzu skazany administracyjnie na trzy lata zesłania do guberni archangielskiej. Po miesiącu zbłądził z zesłania na wezwanie partii i zaczął życie konspiracyjne pod przybranym nazwiskiem, jako okręgowiec partyni, kolejno w Radomiu, Kielcach, Częstochowie, Białymstoku i Sosnowcu. Na dwa miesiące przed słynnym manifestem konstytucyjnym cara Mikołaja aresztowany znowu — w międzyczasie sprawa o pobicie strażnicy więziennej i zdemolowanie w Kalszu (w dniu wspomnianego manifestu) — wyszedł z więzienia dopiero na wiosnę 1907 r. Były to czasy rozłamu w ówczesnej PPS, co nastąpiło w istocie na tle stosunku do rewolucji rosyjskiej. Pod wpływem przeżyć, doświadczeń i literatury, Rudnicki zmienia poglądy i staje do nowej pracy, już jako członek Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy. Na emigracji w Niemczech (Bremie) pracując jako robotnik brukarski i nie przerywając działalności politycznej — żeni się w tym czasie i ma dwoje

dzieci. Po powrocie do kraju pod obcym nazwiskiem, pracuje w Zagłębiu Dąbrowskim, później mieszka w Kijowie.

Od wczesnej wiosny 1912 r. przebywał w Warszawie, gdzie po represjach wskutek upadku rewolucji 1905—7 r., odradza się szybko ruch robotniczy. Pod pozorem szerzenia wiedzy handlowej i trzeźwości zakładano stowarzyszenia oświatowe jako legalne podpory ruchu nielegalnego. Przekształcano tzw. polskie związki zawodowe w związki klasowe, organizowano spółdzielczość i kasy chorych. Po wybuchu pierwszej wojny światowej w 1914 r., działa Rudnicki pod okupacją niemiecką w legalny i nielegalny sposób. Aresztowania dokonane przez władze carskie w pierwszym roku wojny oszczędziły zaledwie kilku działaczom partii, ale ruch się umiarkował. Rudnicki dzień w dzień obsługuje po kilka wiekszych i mniejszych zebrań. Związki zawodowe i stowarzyszenia oświatowe stawały się ośrodkami ruchu politycznego, zwróconego przeciwko uciśkowi okupacyjnemu i akcji werbunkowej. W listopadzie 1916 r. więc zorganizowany przez pilsudczyków w celach akcji werbunkowej do legionów, na cykłodromie przy ul. Żelaznej, po przemówieniu Rudnickiego zmienił się na wielką demonstrację przeciw Niemcom. Rudnicki aresztowany powędrował do obozów koncentracyjnych (Szczypiorno, Hawelberg). Wypuszczony, na krótko wznawia działalność polityczną, by znowu znaleźć się w obozie, tym razem w Modlinie.

Po uwolnieniu z obozu w Modlinie w r. 1918, Rudnicki staje do pracy w KPRP. Jednak nabyta podczas perypetyj więziennych obozowych wada słuchu zmusza go do usunięcia się od politycznej działalności organizatora i propagandzisty. Temu należy bodaj przypisać zwrócenie się do działalności literackiej. Nerw pisarski odezwał się u Rudnickiego wcześniej. Od r. 1907 rozpoczął pisać krótkie artykuły dla „Gazety Robotniczej” w Katowicach. Pracował wtedy jako robotnik na emigracji w Bremie. W r. 1912 był krótko redaktorem i wydawcą „Nowego Głosu” w Warszawie. Egzystencję pisma zakończyły władze carskie. Pierwsza praca wydana oddzielnie to broszura o Kasach Chorych (rok 1913).

W r. 1920 nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Książka” ukazała się powieść pt. „Odrodzenie”, w swoim czasie stanowiąca wydarzenie, jako pierwsza powieść u nas napisana przez robotnika, gdzie występowali jedynie robotnicy. „Odrodzenie” cieszyło się znacznym powodzeniem w kręgach proletariackich. Ówczesna krytyka, podkreślając talent narracyjny autora, werwe, żywość przedstawienia, wytknęła zarazem naiwność i prymitywizm techniczny. Chodziło nie tylko o technikę. Rudnicki spotkał, jako wzór w naszej literaturze powieści społecznikującej lat fermentu rewolucyjnego, którą reprezentowali przede wszystkim Strug i Daniłowski. Przedstawiała ona głównie przeżycia inteligentów o wyrafinowanym życiu sentymentalnym. Treści, które wniósł z sobą Rudnicki, nie zawsze dały się ułożyć wedle przyjętych wzorów literackich. Toteż mimo powodzenia pierwszego tomu „Odrodzenia” — był tłumaczony na język rosyjski i niemiecki (drukowany w dzienniku „Rote Fahne”), miał dwa wydania po polsku — Rudnicki nie zdobył się na zakończenie powieści. Później wydał — również nakładem „Książki” — zbiór opowiadań „Republika demokratyczna”.

W następnym okresie Rudnicki pracując w Zarządzie Miejskim w Warszawie, zasiła wydawnictwa periodyczne Komunistycznej Partii Polski. W latach 1924—1926 współpracuje w redakcji pism wydawanych przez Niezależną Partię Chłopską. Następnie od czasu do czasu bierze udział w wydawnictwach rewolucyjnych legalnych lub nielegalnych. Za okupacji pisywał do prasy podziemnej. W latach 1942—45 ukrywał się na wsi, pracując jako fernal i dozorca.

II.

Jeden z najciekawszych działów literatury dwudziestolecia stanowią niezawodnie pozycje dokumentarne — pamiętniki bezrobotnych, pamiętniki chłopów. Zbierali je socjologowie, bynajmniej nie w celach literackich, ale niejedną z tych utworów wykazywał zdolności narracyjne i siłę wyrazu, które mogłyby pozostawić zawodowi pisarze. Zresztą i w poprzednim okresie mieliśmy opisy własnego życia Słomki, Kurasia — ocenionego nader wysoko przez Zeromskiego. Przed dwudziestu laty uwagę powszechną zwrócił „Życiorys własny robotnika” Jakuba Wojciechowskiego, wykazujący żywiołowy dar epicki autora półpiśmiennego, bez kultury literackiej, ale znajdującego sposobu wypowiedzi o zastanawiającej wyrazistości.

Przygotowanie społeczne i pisarskie autora wynosi jednak książkę Rudnickiego ponad wspomniane utwory. Mamy tu nie tylko materiał życiowy, po który literatura zawodowa sięgała z rzadka i ogólnie, biorąc rzeczy „po łebkach”, nieraz na efekt, często z niezamierzoną sztucznnością, jaką wniósł sentymentalizm uspołecznionego przedstawiciela warstw wyższych. W „Starym i nowym” uderza nie tylko autentyczność, nowość surowego materiału jak w dotychczasowych próbach. Książka napisana została przez autora o piórze wyrobionym, umiejącego korzystać ze swego daru narracyjnego, w sposób właściwy rozłożyć akcenty, selekcjonować. Autorzy wspomnianych pamiętników usładowali wyrazić wszystko, co kółkuje w głowie i sercu, osiągając często efekt wprost odwrotny.

Uderza to przede wszystkim w stosunku do środowiska. Często u ludzi z dołów społecznych występuje wobec dawnego środowiska specyficzna niechęć, czasem odraza. U Rudnickiego obrazy przeszłości, nawet w przedstawieniu stron najgorszych: ciemnoty, zabobonu, braku kultury, cechuje umiar. Wynika to nie tylko z pasji artystycznej, którą pociąga to co ludzkie, co żywotne, co ma barwę i kształt rzeczywistości. Mamy tu równowagę człowieka, który niejedno widział, niejednego doznał, zetknął się z najróżniejszymi środowiskami, najróżniejszymi formami życia, a który zachowując niezachwlaną wierność swej filozofii życiowej i swym zasadom, potrafi ze zrozumieniem wnikać w istotę zjawisk nawet odpychających dłoń.

W piśmarstwie Rudnickiego występują związki z dawnym otoczeniem, któremu autor wiele zawdzięcza, nawet gdy idzie o intymne właściwości sztuki pisarskiej. Wyżej wspomnianym o charakterystycznych osobliwościach środowiska społecznego, w którym Rudnicki zrodził się i wychował. U nas od stulecia z górą omawia się zagadnienia kultury ludowej, wkładając w nią rzycałtem wszystko, co nie jest w kulturze miejskiej. Ale środowisko takiego Sulejowa i setek mu podobnych osiedli nie daje się żadną miarą podprowadzić pod pojęcie kultury chłopiejskiej, choć niewiele miało wspólnego z formami życia prawdziwych miast z prawdziwego zdarzenia.

Osobliwości kulturalne wiązały się z trybem życia owej biedoty miejskiej. Podobnie jak u szlachty zagrodowej, wynoszenie się, przestrzeganie fikcyjnego gospodarstwa uprzywilejowania społecznego pociągało za sobą konieczność wyrzeczeń — poważnych nieraz trudności życiowych. W pojęciu chłopcy łyk uchodził za koronny lenia. Pole obywatelskie porastało perzem i ognicą, niedna kilkumorgowa gospodarka nie dawała ujścia dla aktywności, — w pracy przelebiano. Nie było tu tradycji kija ekonomicznego, który wiekami całymi zmuszał chłopca do pracy wszystko jedno, opłacalnej czy nie, często bezsensownej gospodarce. Tutaj przebredzano — nie każda czynność uważano się za odpowiednią dla syna obywatelskiego, w obawie by nie został zmieszany z chłopem-wyrobniem. Z drugiej strony, zajęcie właściwych mieszczańom nie było wiele. Parę rodzin z biedą dążyło się zaliczyć do burżuazji w ścisłym sensie, kilku rzemieślników czy kramarzy obsługiwało okolicę chłopską. Reszta obywateli posiadała dość wolnego czasu na kontemplacyjną obserwację — choćby sąsiedzkiej obdarłej strzechy i zmuszał, osiadając chałupę (na swoje patrzeć obmierzło), no i działań bliźnich. Żył się trochę „psim swędem”, gospodarstwa zaspokajała najskromniejsze potrzeby wyżywienia — można było przy sposobnej porze iść na rybkę z siecią lub wędką, zastawiać sędia na drobna zwierzynę — zajęcia, którymi gospodarny chłop wręcz gardził.

Ale też nadmiar wolnego czasu wyrabiał specyficzną kulturę konwersacyjną, wycieczki języka na bliźnich — kłasiwy dowcip, wypowiedziany się nieraz w obrazie, w charakterystyce ucinkowej a trafnej. Często gesto zdarzał się tu magdala, siedzący „nad talmudem” — tak z pogardą określano czytelnice choćby powieści Kraszewskiego i Sienkiewicza. Czasem z wielkiego świata zawieruszał się jakiś sekciarz, — jakiś człek o awanturycznej przeszłości, bywalec, co nie z jednego pieca chleb jadł, a i o kryminalu zawadził, jak ów Rybicki.

Napięcie przeciwieństw społecznych tu niezbyt odczuwano — na wsi istniał ucisk dziedzica, pamiętano zresztą pańszczyznę. Tu rząd reprezentowany przez pijackie strażnika, złodziejskiego pisarza, niewiele nastroczał na codzień okazji do zajmowania się nim. Więcej interesowano się plebania, ale i to w sposób obywatelski. Na rodzinnej wsi plebania idąc zazwyczaj z dworem ręką w rękę stanowiła czynnik drażniący społecznie. Tu zainteresowanie kłędem miało charakter jakowejś niezaleźności pobłażliwej — o, dobry, ludzki duchowny z ambony opowiada facecje, nie zdięra za chrcziny, śluby i pogrzeby. Przyszedł inny — lubi pociągnąć groza z parafian — ale za to, co za pompa nastała przy nabożeństwach i procesjach, jest na co popatrzyć, czego posłuchać.

Mamy tu do czynienia z jakimiś relikami społecznymi i gospodarczymi — wewnętrzne konflikty minimalne, więcej zainteresowań politycznych, ogólnych. W przeciwieństwie do wsi chłopiejskiej, miasteczka owe podobnie jak szlachta zagrodowa brały dość żywy udział w powstaniach, potem nastawała śpiączka. Kapitalizm tu jeszcze nie docierał bezpośrednio, zetknięcia z nim szukać trzeba w miastach. Pcha do tego nędza, obfitość dzieci na paromorgowych gospodarstwach, dzielonych na śpiączki absurdalnie małe, wygania albo na emigrację, albo do wielkiego miasta w poszukiwaniu pracy. Następuje zetknięcie się z kapitalizmem, wejście w środowisko gospodarce wielkiego przemysłu. Tutaj zresztą — podobnie było z elementem drobnoszlacheckim — drażliwe poczucie godności, oparte na szczątkach fikcyjnego przywileju, często przyczyniało się do szybszego wzniesienia ducha oporu.

Jako się rzekło, u Rudnickiego występuje silne poczucie związku ze środowiskiem. Wiele mu zawdzięcza przede wszystkim jako pisarz, w sensie oryginalności zjawiska. Uwydatnia się to zwłaszcza w języku. U Rudnickiego nie znajdujemy dużo owych smaczków gwarowych, którymi wielu autorów nieraz

w sposób ostentacyjny podkreśla regionalność swojego pochodzenia. Przeważnie gwarę otrzymywaliśmy w przyprawie szczególnej rozlewności sentymentalnej, jakoby stanowiącej właściwość odczuwania „ludu”. Wywodziło się to po prostu z tonu biadołenia, ubolewania nad swoim losem, przyjętego wobec pana, co schlebiali pańskiemu sposobowi w ujmowaniu spraw społecznych, który mimo woli przesiąkał do literatury wraz z filantropijnym stosunkiem do ludu.

Osobliwości kultury narracyjnej Rudnickiego w niejednym przypominają sposoby ujmowania zjawisk w skróty obrazowy, wywodzący się z owych sąsiedzkich pogawerek, wycieczki języka niekoniecznie na bliźnich, na sąsiadach, — często w ogóle na sprawach tego świata, jego nieładu. Nieład ów ujmowany bywa nie zawsze z narzekaniem, ubolewaniem — zbyt długo trwa — bez złudzeń, często z przenikającą kłasiwą ironią. Obejmuje ona sprawy przynębiające, nieraz okrutne, jak przy opisie owego łoża przedwcześnie zgasłych męczenników rodzinnych, przy mimochodnym określaniu przyczyn zejścia ze świata (zaczął płuć, płuć ciągle mimo ostrzeżeń, no i wdały się suchoty itd.).

Kwestia techniki, sposobu ujmowania zjawisk łączy się przecież ze sprawami określania stosunku do świata. Język Rudnickiego stanowi nie ostatni z walorów jego książki. Zdarza się, iż traci on świeżość, bywa przeciążony nadmiarem słów nowych, obcych, ale naogół przechowuje niezatartą barwę osobliwości prowincjonalnych, świadectwo mocnego wrośnięcia w środowisko, bez rozplywania się, ciackania się tymi osobliwościami, z czego niejedną malki umysł tworzy całą filozofię odrębności. — chciałby się zamknąć przed wielkimi sprawami świata, w tej ciasnej, ale własnej skorupie żyć i umierać.

U Rudnickiego poczucie środowiska stanowi punkt wyjścia do dalszego rozwoju. Związki z przeszłością ujmują z myślą, doświadczenia, tak przy charakterystyce babki, najwybitniejszej indywidualności spośród ludzi jego dzieciństwa, nie bez racji Rudnicki podkreśla, iż wpływ babki przy całym jej konserwatyzmie, tak w życiu jak i poglądach, przygotowywał we wnuku przyszłego komunistę. Stało się tak nie tylko przez odpychanie, przeciwstawianie, jak bywa często. Te niewykształcona, stara kobieta, zjadła katolicką, pełną przesądów, cechowała przecież ów zasadniczy, nie skory do kompromisów stosunek do spraw życiowych, który w innych warunkach, w innej fazie rozwoju społecznego robi z wnuka rewolucjonistę.

Intensywne poczucie tych związków wolne jest u Rudnickiego od fetyszyzmu cechującego autorów, którzy ze środowiska, urobionych przezeń narowów, wytworzonych refleksów warunkowych robia alfę i omegę rozwoju jednostki. Dialektyczne pojmanie tych spraw pozwala Rudnickiemu, nakreślić obraz z głębszymi perspektywami. Mamy to przy charakterystyce osobliwej, patriarchalnej komuny rodzinnej Troczewskich i w wielu innych wypadkach.

III.

Zdarza się i w naszych jeszcze czasach, że różne Szlasy literackie, epigoni szlachetczyzny idealizują byt patriarchalny dawnych wiosek i miasteczek, zawodzą nad okropnościami miasta, Molocha, jego demoralizacją i rozkładem, dławieniem ducha przez materię. U Rudnickiego w obrazach sulejowskiego dzieciństwa, groteska miesza się z sentymentem — chlewna szczęśliwość przy braku potrzeb, nieodczuwanie braków wśród rud i gnojowisk. „Nas w Sulejowie i Kurnędzu materia nie gnioła”. Ale wielkie miasto podane zostało w inny sposób, niż się to zazwyczaj w literaturze naszej spotyka: przez kontrast ze szczęśliwością lat dzieciennych. Miasto stanowi dla Rudnickiego symbol wolności od podporządkowania życia jednostki, sprawom najpierwotniejszej vegetacji — co niesie za sobą prymitywizm stosunków produkcyjnych wyrażony w prymitywizmie narzędzi. Nad sentymentalną groteską chlewnego raju sulejowskiego dzieciństwa powstaje ogrom miasta i jego przedmioty pełnych jeszcze biedy i niedoli — to prawda — ale tam ludzie wynędzali, pracując ciężko, patrząc w przyszłość jaśniejszą, wroczą inne perspektywy.

Znamienny jest opis pierwszego dnia spędzonego w hali fabrycznej, gdy młody chłopiec obyty już z indywidualną harówką w małym warsztacie, staje pierwszy raz przy maszynie. Występuje tu poczucie rośnięcia duchowego, dorastania do tej potęgi. Nasuwa się porównanie wielkiego rytmu produkcyjnego fabryki, poruszanej miedziami i wolą setek, tysięcy ludzi do rytmu żywiołowego sił przyrody. To uczucie odrzucania, jakby dawnej ciasnej skóry, dociągania się do nowych zadań, nowych czynów, już młodego robotnika nie opuszcza. I tu mamy prawdę historyczną czasu o ile wyższą nad sentymentalne kwilenie, wyrzekanie, kłatwę na „złe miasto”, na przemysł, czego w naszej literaturze mamy taki nadmiar. To jest nowe i mocne w książce Rudnickiego.

Właśnie wielkie miasto w wielkim zespole, przy wszystkich poniżeniach i niedolach, których młodemu robotnikowi oraz jego współtowarzyszom nie szczędzi kapitalizm — daje możliwość takiego rozwoju indywidualności, o którym nie było mowy w dawnym życiu ugrzęzłym w przyziemnej grzebaninie. Jako się rzekło, jest to rozwój — ku zdemaskowaniu chwalców wiosek — przede wszystkim duchowych — wzmoczenie poczucia społecz-

^{*)} Przedmowa do autobiografii Lucjana Rudnickiego, która ukaże się w czasie najbliższym nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

które mają wartość ideową nieprzedawnioną albo też dziś ponownie aktualną. Dzięki temu otrzymamy na przykład z literatury francuskiej tak cenne rzeczy, jak dwutomowy wybór z Woltera („Essai sur les Guerres civiles de France”, „L'histoire de Charles XII”, „Lettres anglaises”, „Les conseils à un jouraliste”, „Le siècle de Louis XIV”), Prévosta „Mémoires et aventures d'un homme de qualité”, Marivaux „Paysan parvenu”, arcydziełny wybór z pamiętników Saint-Simona (pamiętajmy o roli, jaką ten pamiętnikarz odegrał w twórczości Prousta), „Charaktery” La Bruyère'a i Chamforta „Maksymy” La Rochefoucaulda i analogiczne dzieła Vauvenarguesa. W tym dziale znajdują się ponadto między innymi prawie u nas nieznane „Mémoires d'outre-tombe” Chateaubrianda „Obermann” Senacourta i opowiadania („Legenda o św. Julianie”, „Herodiada”, „Serce naiwne”) Flauberta. Świetny, a mało u nas znany, bo pominięty przez Bibliotekę Boy'a „Tartarin de Tarascon” Daudeta wzbogaca tę listę w sposób nieoczekiwany.

Z literatury angielskiej należy zanotować przede wszystkim Szekspira w nowych przekładach, a mianowicie „Romeo i Julia” oraz Hamleta w tłum. J. Iwaszkiewicza „Jak wam się podoba” w tłum. Cz. Miłosza, „Burza” i „Ryszarda III” w tłum. Jastrzębca Kozłowski. Biorąc pod uwagę fakt, że istniejące przekłady szekspirowskie już mocno się postarzały, inicjatywa PIW-u, zmierzająca do pokazania nam Szekspira i w przekładach współczesnych, zasługuje ze wszech miar na pochwałę.

W dziale literatury angielskiej znajdziemy oprócz tego takie nazwiska, jak Defoe, Melville, Scott, Dickens, Siostry Bronte, Thackeray (zupełnie u nas nieznany), Stevenson, Meredith i Washington Irving, czytelnik polski otrzyma więc nieznane dzieła znanych autorów i pozna szereg nieznanych mu, sławnych pisarzy angielskich, których nazwiska poruszają często w powieściach wielkiego Conrada.

Na koniec w dziale literatury rosyjskiej PIW zapowiada cykl jednotomowych wyborów z pism klasyków oraz pisarzy współczesnych.

Należy przyznać, że jest to największy rozmiar i najbogatszy w treść plan wydawniczy, z jakim spotkaliśmy się po wojnie. Podstawowe wydawnictwa encyklopedyczne, obszerna monografia Wiosny Ludów, opracowania źródłowe i monograficzne historii ruchów społecznych w Polsce, wreszcie literatura polska i obca dają swym szerokim zakresem obraz trosk państwa o pomnożenie i udostępnienie dóbr kulturalnych. Jeżeli od tego obrazu dodamy zamierzone już na połowę r. b. wznowienie „Poradnika językowego” pod red. prof. W. Doroszewskiego, kontynuowanie miesięcznika „Teatr” pod red. L. Schillera, B. Korzeniowskiego i W. Pady oraz zapowiedź wydawania dalszych periodyków o charakterze poważnym, to wniosek o dodatnich rezultatach planowania na terenie kultury okaże się czymś oczywistym i uderzającym. Państwowemu Instytutowi Wydawniczemu już w chwili obecnej, a więc na progu realizacji powyższych zamierzeń należy się wdzięczność za przemyślaną i rozległą inicjatywę. Nie ulega wątpliwości, że niskie ceny poszczególnych wydawnictw umożliwią im jak najszerszy obieg społeczny. **ads.**

JAN PIERZCHAŁA

BĘDKOWICE, WIEŚ POLSKA



Józef Pogan

SPOJRZENIEM J. Pogana na podkrakowską wieś nie kierował nikt. Niczyje też podjęty nie nadały „Ugorom” piękną stylizacji. Książka ta powstała jako odruch samorodnego talentu. Czas „Ugorów” jest krzykiem o reformę. Jest także dokumentem świadczącym o ustroju społecznym, w którego ramach nie mieści się nie poza egoistycznym interesem uprzywilejowanej klasy.

Będkowice wieś podkrakowska to nader ważki argument. O parę kilometrów od Krakowa, w ostatnim dziesięcioleciu przedwojennym, panuje analfabetyzm, najstraszniejsze zacofanie i policyjno-kościelny terror, w miejscowości trwającej jeszcze w pamięci chłopów pańszczyzny. Będkowice — wieś skuta ustrojem; rozdzielona i szczupła parcela nikogo nie chce żywić, ciasne izby przepełnione ludźmi, kartelowy przemysł. Zgłębia Krakowskiego i Dąbrowskiego nie przyjmują nowego robotnika. Osaczonego chłop czuje w sobie bunt, dusi go ustrój, ale brak organizacji nie daje pozytywnych rozwiązań (str. 119). „Co się zaś tyczy chłopów, to dlatego są pogardzani i gnębieni przez panów, że nie są zorganizowani i świadomi swych celów życia”.

Sily przeciwne stoją mocno na straży tak zwanego porządku. Ruch robotniczy tamtego okresu wskazuje, że nawet zorganizowana walka nie wiele rozstrzygała. Proletariat miejski borykał się z fabrykantem w ślepych zaskakach i łatwo stwierdzić, że został zgwałcony. W „Ugorach” Bąbas mówi o robotnikach — (str. 119). „Tacy mocni, a dalei się strzylać, wywozić do Wisły i topić. Czymuż się nie oparli krakowskiemu wojewodzie, jak ik koż strzylać o strajk w „Semperey”?”

Ekonomiczne położenie wsi czyniło ją po-
*) J. Pogan: „Ugory”. Str. 190. Spółdziel-
nia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 1947.

datną na wstąpienie w ślady walczącego proletariatu, ale ustrój szczerze zamykał ją, i w tej izolacji z trudem dojrzewała konieczność walki o reformę i sprawiedliwość społeczną. Proletariat miejski wcześniej i łatwiej osiągnął świadomość klasowej odrębności, wykształcił metody postępowania. Wieś najpierw pańszczyzniana, później zostawiona tylko sobie (brak szkół i kulturalnych kontaktów z resztą społeczeństwa) nie zdolna była do jednolitego i świadomego ruchu. Chłop w Będkowicach nie może się zdobyć na świadomość własnej siły, mimo iż świadom jest krzywdy. Krępuje go tradycja bierności i wiara. Mówi o własnej chłopskiej krzywdzie, o sprawiedliwości, o własnym antypaństwowym, kto zaś był wyrotowcem, automatycznie stawał się bezbożnikiem — komunistą. Tepła go policja i ambona. Tak to się w niejednych Będkowicach w Polsce rodziło komunizm.

Chłop, skrepowany przywiązaniem do religii nie odróżniał prawdziwego Boga od politykującego Kościoła i ta właśnie wiara opóźniła jego świadomość społeczną, zamknęła drogę do walki o sprawiedliwość. Świat kończył się zaraz za wsią, albo niewiele dalej; w miejscim wiezieniu.

Plebani będkowicka nie dostrzega ni razu krzywdy chłopów, przeciwnie powagą religii dążył rosnąć bunt. W zamkniętej wsi nikt nie ma odwagi jawnie wyznawać swoich przekonań. Plebania urabia w „Ugorach” opinie wsi, a ta jest bezsilna. W Będkowicach podczas największej biedy za ostatnie grosze wieśniaków budowano nie szkołę, bo do budowy tej nikt nie mógł wsi przekonać, ale kaplicę. Budowano ją pod terrorem, no bo jeśli pomagali nawet niewierzący? A oto wyjątek: (str. 93). Krętać i Małki śmieją się z mylnarza Grubka, który pomaga przy budowie kaplicy, chociaż jest prześladowcą i wrogiem księży. — „Do spowiedzi nie chodzisz, księży przeklinasz, a kamienie na kaplicę wozisz? Chłopie, co cię skusiło? — Głupie pierony! — odrzekł na to mylnarz — każdo rzecz, jako się zrobi, jes potrzebno. Przyszcie cas, co sie zmienii drański ustrój na świecie i z ty kaplicy może być Dom Ludowy, albo nawet uniwersytet. I może przysię do tego, jakby tak komunizm zapanował. Ino, pierony nie spominajcie nikaj o tym, bo by imie policjozy zabrali i wysłali do Berezy albo na Pińskie błota”.

Ślady komunizmu, jakie znajdujemy w tej cennej, opuszczonej przez Boga i ludzi wsi podkrakowskiej, świadczą w pewnych wypadkach o wyrozumowanym światopoglądzie, w innych są raczej aktem tajonej zemsty. Komunizm w Będkowicach to jedyna broń, która niszczy państwo panów-ciemnych, egzekutorów, policjantów i resztę szerokiego jeszcze, ale nieproduktywnego dworu (str. 93). „Niek będzie, jak kce, ale niekby komuniz zapanował na złość tym cholernym księżom i panom”. I jeszcze, jak mówi mylnarz Grubek (str. 99): „Jo, widzijs kce tak: kto ma duży majątek, powinni mu odebrać i wszystkich po jednako podzielić”.

Komunistów w „Ugorach” pokazał Pogan kilku, ale na specjalną uwagę zasługuje Bży-

kowski, świadomy demokrata, stronnik zrzeszonych partii robotniczo-chłopskich. Wybrał go w Będkowicach wójtem, ale starosta nie zatwierdził tego wyboru. Wolał na tym stanowisku widzieć analfabeta chłopca, który byłby powołanym narzędziem państwowej administracji.

W Będkowicach samorząd wiejski w całej swojej sile nie istnieje. Wójtem można było zostać za kurę. Wybory przeprowadzali specjaliści wsiowi, którzy egoistycznym sprytem tumanili ciemne chłopstwo, przeprowadzając uplanowaną z góry kandydaturę. Sylwetki będkowickich wójtów to przeważnie marionetki. Ludzie z szopki — ze smutnej szopki: „fraudant, głupiec, i taki, jak jeszcze pisze Pogan (str. 62—63): „Jak przyjdzie w nocy do niego policjant, to on bez portek wylatuje i otwiera mu drzwi, co go sie tak boli... Po rękach go o mało nie całuje, bo myśli, że to król”.

Chłop po omacku, bez samorządu wiejskiego, szuka własnej drogi. Ustrój pozostawił go na marginesie społecznym, w bledzie i zacofaniu, dlatego częściej odzywa się w nim instynkt niż rozum. Bogaty gnębi biednego, silny słabego (str. 128): „Najgorst ludzie wodzą innych na pasku, a najmocniejsi, biją słabszych. Słabsi i ubożsi nie mogą znaleźć sprawiedliwości za doznane krzywdy, bo plebniedze i pieśń, to przemoc nad nimi”.

Nad wsią czuwała: ksiądz, policjant, sekwestrator i marionetkowy wójtem.

Taki układ, jak go tu spostrzegamy zmusza do jednolitych wniosków: Ciasne ramy ustroju duszą wieś. A więc: rewolucyjna zmiana ustroju, to jedyny rozwiązanie.

J. Pogan silą rzeczy wydaje się być tego samego zdania, ale ostatnie jego opowiadanie w „Ugorach”: „Ku lepszeniu” sprzeczne nas trochę z tego toru i mać sprawę. Wnosząc całkiem nowe zjawisko do stosunków będkowickich, nie chce być Pogan konsekwentnym, rozpatruje zjawisko sam w sobie, a nie w powiązaniu z tem społecznym. Będkowice idą ku lepszeniu, ale trudno dowiedzieć się od Pogana, gdzie leżą przyczyny tych nieoczekiwanych zmian. Nie uderzywszy w ustrój, bez jego radykalnych zmian udało mu się w parafii będkowickiej wywołać uśmiech. Zjawiał się w Będkowicach inżynier-agronom, agitator spółdzielczości. Na tej drodze wolno szukać optymistycznych rozwiązań. To jedna z form obrony przed wyższym: samoobrona ekonomiczna. Ale Pogan potraktował sprawę po towarzysku. Wystarczy mu, że Małki wygłosił na zebraniu umoralniającą mowę, by wszyscy i wszystko zmieniło się na lepsze. Tak nagle, bez powodu. Ogólnie i podstawowe tło ekonomiczne wsi zostało bez zmian. Pogan w człowieku, a nie w ustroju, doszukiwał się zła. Dźwiga moralność w oderwaniu od konkretnych warunków bytowania. Wyjmuje z ręką ludzką, nie dając jej pracy i chleba, a tylko teatr amatorów i spółdzielnię. Chyba Pogan upoił się sobą (str. 177): „spróbujmy nadal żyć po ludzku, nie jak dotychczas”, „Odmienimy się wszyscy”. To są zawołania w próżnię. Pogan pisze dalej w moralizatorskim zapędzie (str. 178): „Nożownicy nie są bohaterami, lecz podłymi awanturnikami, gdyż o bohaterach nawet nie słyszeli, nie czytając książek”. I chciałoby się w tej samej chwili zapytać: skąd w Będkowicach książki? Czytanie książek to nie taka prosta sprawa, wprawdzie trzeba szkoły i chleba. Pogan nie pisze skąd ma przysłać książki do zmaltretowanej społecznie wsi. Przy końcu książki J. Pogan wyraźnie się zapomni. Środowisko, które go wydało, potraktował w końcowym wydźwięku swej książki powierzchownie. Niech świadczy o tym wyjątki z jego życiorysu poprzedzającego „Ugory” (str. 18): „W ciągu ostatniego dziesięciolecia przed wojną w Będkowicach, gdzie jest przeszło sto dwadzieścia rodzin i znajdują się nawet zamożni gospodarze — zaledwie siedmiu dzieci kończyło pełną szkołę powszechną, a żadne średniej. Wina tego był brak w miejscu pełnej szkoły”. No ale ktoś temu winien, że w Będkowicach nie było szkoły? Czy będkowiccy nożownicy? A oto jeszcze jeden wyjątek z tego życiorysu: (str. 16) „Nie starczyło mi jednak na najskromniejszą potrzebę. Za mało było, aby żyć, a za dużo, aby umrzeć. Często na przedwiośnie nie było czym raz dnia się posilić. Ubrania i butów też nigdy nie było. Podatku nie można było zapłacić. Chowałem tylko dwie kozy, czasem jakąś geś czy kurę, a w razie przybycia sekwestratora — umykałem z tym majątkiem w pole. „Albo jeszcze: (str. 16) „Biedacy zbierali latem borówki w lesie. Każdego ranka zaledwie świt nastał, kobiety z dziećmi, a nawet i mężczyźni pędzili na oślep do lasu. Przy tej pracy można było zarobić około 50 groszy dziennie”.

Czyżby ta tragiczna sytuacja miała wynikać tylko z niedoskonałości ludzkiej? Pod koniec „Ugorów” dzieją się cuda. A gdzież wszystko to, co wypłynęło piętnaście innych opowiadań? Pogan odmienił czas, zaprawił go metafizyką. Kazał się ludziom bić w piersi, chyba za winy innych, bo nie za swoje. Teatr amatorski i spółdzielnia to przy niewdzięcznym ustroju nie cele, jak je potraktował Pogan, ale środki, zresztą mało i nieowocujące tak nagle.

Niechby był Pogan w rozdziale „Ku lepszeniu” pokazał Będkowice po reformie rolnej, po nacjonalizacji przemysłu, wtedy słowa jego: (str. 182) „We wsi zanoszono się na jakieś nowe życie”, miałyby zdrowy sens, nie byłyby słowami z wiatru.

Jan Pierzchała.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

„Oblicze Ziemi Odzyskanych” Dolny Śląsk, tom I. Przyroda i gospodarka. Praca zbiorowa, wyd. Książnica-Atlas, Wrocław — Warszawa, r. 1948. Stron 459.

Cenna ta książka ukazała się w druku, jako cykl wykładów o Śląsku na kursie informacyjnym dla pracowników oświatowych we Wrocławiu w maju 1946 r. i następnie na kursie metodyki pracy naukowej dla nauczycielstwa. Organizatorami kursów było Kuratorium Okręgu Szkolnego Wrocławskiego, Biuro Ziemi Odzyskanych w MO, a druk zainicjowała firma „Książnica-Atlas”.

Dzięki poważnej, sumiennej pracy badawczej przeprowadzonej w ciągu dwóch lat (1945—1947) w terenie i wykorzystaniu bogactw materiałów źródłowych niemieckich z lat ostatnich przed wojną, ma ta książka charakter nie tylko informacyjny, ale naukowy. Autorzy podają bogatą bibliografię, np. Partsch’a, Frech’a, Oibricht’a z działy geologii i morfologii, atlas Geislera, Schmidta i in. z działy rolnictwa, Wendt’a, Freimarka, Oibricht’a i innych z działy przemysłu; poza tym wielu polskich badaczy Śląska.

Na treść tomu pierwszego składają się następujące rozdziały: 1) Czyżewskiego — Krajobraz Niżu Śląskiego, bardzo starannie opracowany z uwzględnieniem dziejów geologicznych, przemian krajobrazu kulturalnego aż do okresu współczesnego i w części II — przegląd ważniejszych obszarów geograficznych, zaopatrzonych w mapki i przekroje geolog. Rozdział 2) Klimaszewskiego — krajobraz Sudetów, podający przeszłość i rzeźbę tych obszarów, tak bardzo różnorodnych krajobrazowo i bogatych w skarby mineralne (średniogórze). 3) i 4) rozdziały poświęcone są florze i faunie Śląska. 5) — Wincenty Styś, mówiąc o rolnictwie, przytacza ciekawe dane niemieckich uczonych Meitzen sprzed roku 1905 o polskim pochodzeniu wsi (ulicówki i okolice), gdy tymczasem nowsi uczeni niemieccy po roku 1905 te same ulicówki, rozpowszechnione zresztą na całym Niżu polskim, zaliczają do typu osadnictwa germańskiego.

Ostatnie dzieje naszego osadnictwa po wojnie i przebudowa ustroju rolnego zaopatrzone

są w ścisłe dane statystyczne i dalekie od tonu propagandowego i bezkrytycznego optymizmu podobnych publikacji, rokując naszym osadnictwu na razie ciężkie lata zmagania z trudnościami, które są rzeczowo uzasadnione. Mimo to autor daleki jest od pesymizmu i podnosi ogrom wysiłku jaki włożono już w zagospodarowanie ziemi.

Wreszcie rozdziały 6) i 7) — bogactwa kopalne i przemysł, omawiając energetyczne surowce złoża rud, surowce budowlane i zakłady przemysłowe, dają pełny obraz osiągnięć polskich w gospodarce Dolnego Śląska do dnia dzisiejszego. Pozwalają one ocenić olbrzymi wysiłek, włożony w tę pracę. Widzimy na podstawie tabel że już w jesieni 1946 r., kiedy jeszcze 27 proc. ogólnej liczby zakładów przemysłowych na D. Śl. było nieczynnych, liczba zakładów czynnych na Dolnym Śląsku stanowiła 21 proc. wszystkich zakładów czynnych w Polsce. Jeśli chodzi o rozległość wachlarza produkcji, to żadne województwo w Polsce nie może się równać z Dolnym Śląskiem.

Dolny Śląsk z cyklu „Ziemi Staropolskie” tom I część pierwsza. Praca zbiorowa pod redakcją Kiryla Sosnowskiego i Mieczysława Suchockiego. Wyd. Instytutu Zachodniego Poznań 1948. str. 470. Celem książki, szata zewnętrzna przypominającej znane wydawnictwa węgierskie z cyklu „Cuda Polski” jest, według słów redakcji, wzbudzenie w czytelniku jak najwyższej reakcji uczuciowej przez odpowiednio wprowadzenie go w historię, teraźniejszość i perspektywę przyszłości najwęższej z dziedziny Ziemi Odzyskanych — Dolnego Śląska. Z tej zasady wynika popularny układ książki i zdecydowana przewaga nuty lirycznej z poetycznością, niestety dość ekliwiczną i czasami wyraźnie pozbawioną umiaru. Mówią o tym już choćby tytuły rozdziałów w trzech częściach na jakie dzieli się książka, ukazując czytelnikowi Śląsk z różnych perspektyw: pierwsza „Lotem Białego Orła” daje rzut oka na historię oraz pobieżny wstęp geograficzny, druga — „Szlakiem Wędrowca” — opisy poszczególnych dzielnic Dolnego Śląska, w pierwszym tomie tylko niektórych

(Ziemia oleśnicka, głogowska, wrocławska). Monografie innych dzielnic mają ukazać się w tomach następnych. Trzecia część zatytułowana „Praca rąk i mózgów” będzie obrazować pracę i wysiłek dnia dzisiejszego na odzyskanych ziemiach Śląska. Wstępne jakiegdyś fragmenty do tego dzieła stanowią stronicie poświęcone opisom walki zbrojnej o wyzwolenie ziem nadodrzańskich.

Głównym walorem wydawnictwa jest bardzo efektowna szata zewnętrzna, bogaty i ładnie zmontowany dział ilustracyjny, zawierający liczne reprodukcje dzieł sztuki, fascymila dokumentów historycznych, świadczących o polskości Śląska, mapy i plany miast itp.

Książka nie jest najlepszym wzorem wydawnictw propagandowych, jeżeli chodzi o stronę historyczną i literacką, ale pod względem wydawniczym stanowi ładne osiągnięcie i przyczyni się na pewno do popularyzacji zagadnień, którym jest poświęcona. **M.**

Jerzy Pławowski „Druga wojna światowa” str. 254 wyd. Poligrafika Łódź 1948.

W miarę rosnącego dystansu lat dzielących nas od minionej wojny zacierają się stopniowo w pamięci kontury historycznych wydarzeń jakie się na nią złożyły. Choć żywa jest jeszcze w każdym sumie jego własnych przeżyć — następstwo faktów coraz trudniej jest odtworzyć sobie czy to pisarzo- wi, czy nawet historykowi bez odpowiedniego zestawienia kolejności wydarzeń. Książeczka Jerzego Pławowskiego jest takim chronologicznym zestawieniem faktów historycznych jakie miały miejsce w czasie od 26 września 1938 roku (Monachium) do 2 sierpnia 1945 roku (Poczdam). Fakty dotyczące dziejów Polski zostały potraktowane szczegółowiej, zdarzenia mniej nas obchodzące np. dotyczące frontu azjatyckiego czy wojny morskiej — pobieżnie. Do wyszukiwania dat służą trzy skrowidze: rzeczowy, nazwisk i geograficzny. Poszczególne fazy wojny poprzedza krótkie omówienie najbardziej zasadniczych wypadków. Całość uzupełnia 12 map, obrazujących poszczególne operacje wojenne.

JAN KOTT

„OTELLO” W ŁODZI

W roku 1792 w Paryżu wystawiono „Otello” w przeróbce Ducisa. Nie licha przeróbka. Nie ma w niej Jaga. Desdemona nazwana została Hedelmą, co brzmiało bardziej klasycznie, a cała tragedia przemieniła się w przygodę kochanków, zakończone szczęśliwym pojednaniem. Ciekawszymi jest jeszcze stosunek do realiów, pokazuje bowiem niesłychanie jasno obyczajową i estetyczną cenzurę klasycyzmu. Prozaiczną chustkę Desdemona zastąpił dworski bilecik, Otello i Desdemona stają się parą kochanków, pokazywanie małżeństwa byłoby trywialne i wreszcie zamiast brutalnej sceny oburzenia mamy wykwintne pchnięcie sztyletem.

W ten sposób obłaskawiony Szekspir bardzo się podobał. Nie tylko w Paryżu. Nawet w Rosji na początku XIX wieku tłumaczono Szekspira z francuskiego i po raz pierwszy „Otello” grany był według Ducisa. Nie powinno to nas wcale śmieszyć. Szekspir niezmiernie często dostosowywany jest do smaków i przyzwyczajęń widza, tylko nie zawsze potrafimy to dostrzec.

Znany przecież przedstawienia „Hamleta” we frakach i „Sen nocy letniej” w inscenizacji Reinhardta. Dwa klasyczne już dzisiaj przykłady: „Hamlet”, który stał się abstrakcyjnym dramatem istnienia, niemal że egzystencjalistyczną sztuką i drugi kraniec mierzanińskiego stylu — czarodziejska feeria zamieniona w naturalistyczny balet. Poczciwy Ducis nie innego nie robił, tak samo dostosowywał Szekspira do smaku i gustów współczesnych.

Mówimy dzisiaj: powrót do prawdziwego Szekspira. Chcemy tego wszyscy: tylko jak to zrobić? Chciałbym podyskutować o paru trudnościach. I tutaj wychodzi od razu sprawa aktora. Pamiętam z „Burzy” scenę miłosną Mirandy i Ferdynanda, jedną z najpiękniejszych miłosnych scen u Szekspira, namiętną, pełną prostoty, uniesienia, pasji. Sojeczka o degrała w niej midinetkę, której prawią komplementy w metrze paryskim. Podobnie w „Otelu”, gdzie Biała, wspinała kurtyzana cypryjską, zamieniała się w ujęciu Waskowskiej w biedną, porzuconą kelnerkę. Nie jest to zresztą wina dwóch utalentowanych aktorów. Styl gry naturalistycznej komedii mieszczańskiej ciąży nad współczesnym (tępatem) równie silnie, jak niegdyś reguły pseudoklasycystycznego „bontonu”.

A drugie, to sprawa interpretacji. Szekspir nie da się grać po prostu, co krok, zwłaszcza w wielkich tragediach, natrafiamy na sprzeczności, niejasności, możliwości najbardziej różnorodnych ujęć, mających za sobą lata tradycji teatralnej. Wszystko jest sporne, każda koncepcja w jakiś sposób zubaża Szekspira.

Weźmy choćby klasyczną zagadkę „Otelu”: maur czy murzyn. Zdania szekspirologów są podzielone i obu stronom nie brak poważnych argumentów. Prawdopodobnie dla samego Szekspira i dla jego widzów sprawa ta była zupełnie obojętna. Maur i murzyn byli czarni, to zupełnie wystarczało. Ale społeczna i estetyczna wymowa symbolów literackich ulega ciągłym zmianom. Maur, jak pisał Boy, wiąże się dla nas z obyczajowością rycerską, feudalizmem, poezją wschodu. Murzyn stawia od razu problem rasy. I dlatego właśnie, wbrew zdaniu Boy'a, jestem za murzynem.

Otello jest czarny. Desdemona jest biała: nie da się tego usunąć z tragedii. Otello jest szlachetny, chociaż jest czarny. Przeciwnie temu chociaż został napisany „Otello”. Jeden z pierwszych szekspirologów, Lewis Teobald, pisał, że Szekspir pokazuje nam, iż kobieta pokochać może człowieka za jego szlachetność i piękność charakteru bez względu na kolor skóry. Ale ten piękny morał Szekspira oburzał i mamy od razu drugą interpretację „Otelu”. Sformułował ją bardzo jasno Ben Jonson: „Otello — pisał — daje nam bardzo pożyteczną lekcję, że nie należy zawierać nierównych małżeństw”. Jest rzecz bardzo zabawna, że ta interpretacja, odrzucająca wielki humanizm Szekspira, odżyła w późnym teatrze mieszczańskim. Oczywiście w formie zamaskowanej. W teatrze romantycznym Otello był jeszcze pięknym i poetycznym maurem, od końca XIX wieku gra się Otella jako murzyna. Ale murzyn ten staje się coraz bardziej dzikim i prymitywnym.

Posłuchajmy, jak pisze Boy o kreacji Jurkoszy Stepowskiego w Teatrze Polskim w roku 1925: „Nie porzesał na masce typowego murzyna, łyskającego białą ócz i zębów, z wywinętą dolną wargą; starał się dać mu i duszę murzyńską, charakterystyczne wybuchu śmiechu w pierwszych scenach, coś dziecinnie radosnego, zanim jad podejrzeń zmieni go w tygrysa”. Ta zamiana Otella na dzikusa ma swój bardzo wyraźny sens ideowy. Prymitywne dziecko natury styka się z cywilizacją. Są to dwa różne światy; miłość Otella kończy się tragicznie, ponieważ Otello jest czarny. W ten sposób nastąpił powrót do lekcji, jaką wyciągnąć z „Otelu” Ben Jonson.

Alle prawdziwy sens tragedii Szekspira jest inny. Otello jest szlachetniejszy i bardziej ludzki od wszystkich Wenerjan. Miłość Desdemony nie jest szaleństwem i głupotą, jest miłością prawdziwą. I aby to pokazać, Otello w teatrze współczesnym musi być murzynem i nie może być dzikaszem. I dlatego odpowiada mi koncepcja Szletyńskiego i zasadnicze postawienie roli przez Pietraszkiewicza. Jego Otello jest przede wszystkim rycerzem, takim samym jak inni. Jeden z moralistów „Otelu” — to zwycięstwo nad przesądami rasy.



„Otello” na scenie Państw. Teatru W. P. w Łodzi. Scena z epilogu: od lewej Emilia (Tymowska), Jago (Borowski), Otello (Pietraszkiewicz), Montano (Szymański), Desdemona (Kossobudzka).

foto Malarski i Brzozowski

Ale wielkość Szekspira polega na jego niesłychanym bogactwie. Szekspir niczego się nie lęka. Spiata najbardziej różnorodne motywy, nie pozwala się ograniczać. Tragedia zemsty jest zarazem tragedią zawiedzonego zaufania, tragedią kondotiera, tragedią murzyna. Szekspir jest wielkim realistą i dla Wenerjan Otello był tylko czarnym kondotierem. Weźmy, choćby pierwsze sceny. Oto Jago budzi Brabancję okrzykiem:

„W tej chwili właśnie czarny brytan tryka białą owieczką waszą”. Brabancjo żąda sprawiedliwości od doży. Ale jednocześnie przychodzi wieści o ataku Turków na Cypr. Jedyna nadzieja jest w Otello. Nie można sobie wyobrazić, aby Szekspir przypadkowo połączył obie sceny w ekspozycji „Otelu”. Doża przystać musi na małżeństwo córki magnata z czarnym kondotierem. Ale nie ma żadnego powodu do radości. Tymczasem w interpretacji Szletyńskiego cała sympatia

doży i senatu jest po stronie Otella. Sens ekspozycji uległ zagubieniu. Dramat czarnego kondotiera wypaść z tragedii. A przecież istnieje on u Szekspira.

Po zwycięstwie nad Turkami Otello wzwany zostaje do Wenecji, namiestnikiem Cypru mianowany jest Kassjo. Kondotier został oszukany. W interpretacji Szletyńskiego cała ta sprawa ginie. Szekspir został okaleczony. Dla Otella nie istnieje nic poza zazdrością o Desdemone, najobojętniej w świecie przyjmuje rozkaz powrotu. Nie ma już ambicji politycznych. Ale przez to postać Otella ulega nowemu wykrzywieniu i zubożeniu. Szekspir przy wszystkich swoich nieprawdopodobieństwach i dowolnościach, nie rezygnuje nigdy z piętrzenia motywów, które tłumaczą i usprawiedliwiają działanie bohatera. Szaleństwo Otella nie wynika jedynie z intryg Jago. Otello musi być podejrzliwy, musi wszędzie wietrzyć zasadzkę. Jeżeli Des-

demona zgodziła się go poślubić, to chyba dlatego, że była ładacznicą; jakżeż inaczej córka senatora wybrałaby czarnego kondotiera? Ale Otello musi być tym kondotierem. W ujęciu Pietraszkiewicza nim nie był. Pozostał nam w pamięci jako szlachetny uczy ciwy i naiwny starszy pan.

„Otello” od strony aktorskiej jest jedną z najtrudniejszych sztuk Szekspira. Wystawia no go prawie zawsze właśnie dla popisu fryz aktorskiej, dla Otella i Desdemony. Bez pary wielkich aktorów „Otello” nigdy nie porwie słuchaczy. I to był może największy błąd przedstawienia w Teatrze Wojska Polskiego. Pietraszkiewicz miał tylko jeden wielki moment, kiedy rozłączał walczących w nocy Kassja i Montana. Tylko wtedy mógłśmy uwierzyć, że jest wodzem. Nie porwał, trudno go nawet o to wbić. Zrobił rzeczywiście wszystko, co mógł.

Kossobudzka była bardzo dobra w trudnej scenie piosenki o wierzbie. Wierzyliśmy, że kocha Otella, że jest niewinna, nie mogliśmy uwierzyć, że budzi dookoła siebie namiętność. Jakżeż była uboga w porównaniu z szekspirowską wizją białej Desdemony. Tryumfował Borowski jako Jago. Przytaczał parę tragicznych kochanków. Był demonem intrygi. Ale nie rozwiązał w swojej grze sprawy miłości do Desdemony. A ona istnieje u Szekspira. Tymowska (Emilia), Szymański (Montano) i Łapicki (Rodrygo) stworzyli postacie całkowicie przekonujące.

Przedstawienie było jednym z najbardziej starannych i opracowanych, jakie widzieliśmy po wojnie. Na układzie scen zbiorowych (bardzo piękna scena pijaństwa), wejściach i wyjściach ze sceny, metodzie rozpoczynania i kończenia monologów, wykorzystania przodu sceny, czuło było biegłą i doświadczoną rękę reżysera. Tekst wychodził bardzo jasno, powikłana sprawa chustki po raz pierwszy wypadła zrozumiale. Piękne dekoracje Axera wzbudziły słusznie oklaski przy otwarciu kurtyny. Spierałbym się natomiast o kostiumy, które zacierały różnice pomiędzy dworakami a nawpół korsarskim wojskiem Otella. Tekst starego przekładu Paszkowskiego w opracowaniu Gogolewskiej — Berwińskiej i Szletyńskiego zyskał niezmiernie na jasności i sile raziła tylko „demonstracja floty tureckiej”.

Ogrom pracy, włożony w wystawienie „Otelu”, budzi mi się prawdziwy szacunek. Przedstawieniu zabrakło tylko iskry szekspirowskiej. Ale wiem, że takich zarzutów nie wolno stawiać.

Jan Kott

JULIUSZ ŻULAWSKI

Na scenach teatrów łódzkich



„Gospoda pod wesołą kukułką” piora Ryszarda Matuszewskiego i Jana Rojewskiego na scenie teatru TUR w Łodzi. Od lewej: Kaliszewski, Niczewska, Łapiński, Warmański. foto Malarski i Brzozowski

UWAGOM krytycznym o wydarzeniu największego kalibru — o inscenizacji szekspirowskiego „Otelu” w Teatrze Wojska Polskiego — poświęca „Kuźnica” miejsce osobne. Tutaj zajmujemy się tym, co się dzieje jednocześnie na innych scenach łódzkich. Przede wszystkim w Teatrze Powszechnym i w Teatrze Kameralnym.

Teatr Powszechny wystawił sztukę Ryszarda Matuszewskiego i Jana Rojewskiego „Gospoda pod wesołą kukułką”. Sztuka ta — mająca nam pokazać w literackim ujęciu prawdę historyczną o ostatniej wojnie, o bojach naszej armii na froncie radziecko-niemieckim w przededniu zajęcia Berlina — niezbyt szczęśliwie rozprawiła się z tym wielkim tematem, którego ciągle jeszcze tak brak w powojennej literaturze polskiej. Nie zawiniła tu przy tym ani sprawa sceniczna (sztuka ta jest bardzo właśnie „sceniczna” i w akcji swej żywa), ani wąskość obrazu odcinka życia frontowego. Ten odcinek mógłby być jeszcze węższy. Jednym nawet momentem można w literaturze, w teatrze pokazać olbrzymie rozmiary zagadnienia. Błąd tkwi — naszym zdaniem — gdzieś indziej.

W biegu historii wojna ostatnia, a szczególnie jej ostatnia faza, tak różni się od wojny poprzedniej, a wraz z nią od wojen jeszcze wcześniejszych — jak różnią się w rozmaitych okresach zagadnienia socjalne — jak różna jest w rozmaitych okresach postać utworów literackich. Jedyny błąd który popełnili autorzy omawianej sztuki — jedyny błąd, który zadecydował o niedociągnięciu jej do poziomu bardzo zresztą trudnych zamierzeń (pokazanie w teatrze charakteru tej kolosalnej wojny jest niewątpliwie zadaniem przeraźliwie trudnym) — jest to błąd tkwiący w samym założeniu artystycznym, w obranej formie ujęcia tematu, której przecież od treści niezależnie się nie da. Przecież barokowym wierszem nie da się wyrazić na przykład współczesnej nam walki robotnika z kapitalistą. A autorzy „Gospody pod wesołą kukułką” postąpili tak, jakby się to zrobić dało. Przyjęli mianowicie pewien tradycyjny szablon komediowy — zupełnie odpowiedni do trafnego pokazania skrawka wojny sukcesyjnej, lub może nawet bojów legionowych — lecz całkowicie bezużyteczny tam, gdzie chce się pokazać choćby najmniejszy

skrawek frontu takiej wojny, jakąśmy tylko co przeżyli.

Z tego jednego, ale podstawowego błędu wynikły wszystkie niezgodności historycznej, faktycznej natury — i wszystkie nieprawdopodobieństwa: Uroczą dziewczyną prosi dowódcę pułku i jego podkomendnych, aby zmienili, wbrew planom strategicznym i rozkazom, kierunek natarcia — a oni z nią na ten temat w głołę rozmawiali! Dobrotliwy dowódca pułku wysłał z czołową swego zastępcę, majora, gdyż przypuszcza fluternie, że kapitan — zakochany w dziewczynie — nie wykona rozkazu! A rozstrzelać obywatela kapitana — nie łaska?

Jaka to wojna? Z jakiej epoki historycznej?

A szkoda, że nie bardzo wiadomo, bo jednocześnie sztuka jest napisana z dużą werwą — i naprawdę podoba się publiczności. Reżyser — Józef Wyszomirski — zorganizował widowisko w sposób barwny i żywy. Jedynie efekt z czołgiem kilkakrotnie przesuwającym się za oknami gospody, nie spełniał swego zadania. Miał reprezentować grozę wojenną — a przypominał swoją sztucznością raczej łabędzia w Lohenglinie.



„Seans” Noel Cowarda na scenie Teatru Kameralnego w Łodzi. Od lewej: Ludwik Tatarski, Helena Buczyńska, Wanda Jakubińska, Hanna Bielicka, Michał Melina. fot. Frankfurt

Równie sztucznie wypadła postać Kapitana: pasjom i namiętnościom Kaliszewskiego przyglądaliśmy się z niedowierzaniem. Zato doskonała postać dowódcy-naukowca stworzył Ilańczka, no i oczywiście Łapiński w roli telefonisty Łapy był świetny, jak zawsze. Niczewska — jako korespondentka wojenna, wszystkim zwracająca głowę — była, zgodnie z intencjami sztuki, postacią rzeczywiście uroczą. Warmański w roli Porucznika trochę chwilami denerwował swoim ustawicznym jednakowym uśmiechem.

Aby mieć naprawdę pełną satysfakcję z przyglądania się grze aktorskiej — trzeba iść do Teatru Kameralnego, który wystawia „Seans” Cowarda, w reżyserii Michała Meliny. Szuka ta okrojona jest przez samego autora, jako „nieprawdopodobna farsa”. Ale przy całym nagromadzeniu sytuacji i rozwiązaniu rzeczywiście nieprawdopodobnych, które co chwila zaskakują nas i rozbawiają do łez — sztuka ta ma wybitnie racjonalistyczny charakter i to jest w niej właśnie najcenniejsze. Pomimo duchów i zmaterializowanych zjaw — nie ma tu ani cienia mistycyzmu. Farsa ta jest wielką — i znakomicie napisaną — kpina ze spirytyzmu, z wiary w życie pozagrobowe, z Freuda. Jest racjonalistycznym uderzeniem w zabobon własnym orężem zabobonu. Szczeniść sytuacja, dowcipny tok dialogów — cieszy nas jak najlepsza szarada.

Reżyseria wydobyla cały powab tej sztuki w sposób prawdziwie doskonały. A gra aktorów — od której tego rodzaju sztuka jest tak decydująco zależna — jest i pod względem budowy postaci i pod względem współpracy zespołowej bez zarzutu. Postacie są całkowicie pełne — nie można sobie, patrząc z widowni, wyobrazić innych — co

jest najlepszym dowodem na ich udatność. Może jedynie tylko Buczyńska jako Madame Arcati — w zasadzie znakomita i wywołująca burzę śmiechu — trochę za często powtarza te same aktorskie chwytły. Ale Tatański — racjonalistycznie współzyczący z duchami Karol — jest bez zarzutu doskonały. A jakże znakomicie potrafiła znaleźć się w roli ducha Szaflarska jako Elwira — ze swoją eterycznością, jakimś nieziemskim śmiechem i prostymi ludzkimi uczuciami przy tym. A jak przekonująco zagrała zazdrosną żonę Karola Hanna Bielicka jako Ruth! Była prawdziwa, całkowicie panowała nad rolą. I trudno sobie wyobrazić lepszą Edytę, niż Edytę Halinę Głuszkównę.

Jednego tylko żałujemy często, wychodząc po przedstawieniu z Teatru Kameralnego: że w takich ciężkich warunkach materialnych i na takiej prymitywnej scenie żyje ten niewątpliwie najlepszy dziś teatr w Polsce.

W teatryku Syrena w najbliższym czasie mamy nadzieję zobaczyć nową premierę. Dotychczas grana sztuka Gozdawy i Stepnia — „Ambasador” — to bardzo zręczna i zabawna farsa, pełna pysznych popisów aktorskich przede wszystkim Górskiej, Andrzejewskiej, Grodzienkiej, Malickiej, Wolińskiej, Pawłowskiej, Dejunowicz, Jankowskiej, Witasa, Dziewnowskiej.

Gorzej jest z teatrykiem „Osa”: ciągle jeszcze bardzo na ogół słabe teksty i nieszczerne pozycje akorskie. Chociaż ostatnia reżia „Wiosenny bieg” jest już lepsza od poprzednich dzięki znakomitemu Dymyzi, dzięki Jadwidze Gosławskiej i Helenie Groszowej. Taka reżia sama już nawet mogłaby stworzyć doskonały, na wysokim poziomie artystycznym, kabaret. Juliusz Żulawski

dziś życie wielu, bynajmniej nie wyjątkowych ludzi.

Tym zagadnieniem poświęcił swoją powieść „Gwiazda” młody poeta Kazimierz. Książka opowiada o zagładzie grupy wojskowej, odejście w czasie odwrotu i na tyłach otoczonej przez wroga. W przejmującej, dramatycznej opowieści autor pokazuje czystych i wewnętrznie pięknych ludzi, którzy umieli żyć i ginąć dla innych, których moralność wyrastała z norm trudnego, współczesnego ideowego braterstwa.

Sprawie „szczęścia dla siebie” i „szczęścia dla wszystkich” poświęcone są dwie książki: Pawlenki „Szczęście” i Czakowskiego „Mirnyje dni”. Pierwszy pokazuje bankructwo marzenia o tylko indywidualnym szczęściu, zdala od ludzi. Z takiego marzenia budzi bohatera „Szczęścia” wojna i zamyka w przywódce partyzanckiej grupy. Zaletą powieści jest ostry i subtelny rysunek tej przemiany psychologicznej. W książce Czakowskiego mamy podobny problem na tle powojennej odbudowy kolchozu.

Poważną krytykę natomiast wywołała nowa książka Panowej znanej w Polsce z przełożonej powieści „Towarzysze podróży”.

Nowy romans Panowej „Krużyłcha” wyraża przekonanie, iż przeciwieństw między szczęściem osobistym i ogólnym jest antynomiczne, nie da się rozwiązać. Bohater jej — oddany pracy inżynier nie znajduje szczęścia ani z kobietą, która żyje tylko dla niego, ale

od której odsuwa go praca, ani z kobietą prawdziwie współczesną, bogatą wewnętrzną, z własnym światem pracy i ambicji, gdyż w tym drugim wypadku obowiązkami jednej i drugiej strony stają na przeszkodzie szczęściu osobistemu. Krytyka radziecka przeciwstawia Panowej doświadczenia i filozofię epoletowego optymizmu, wytyka rzeczywistą sztuczność sytuacji i nieprawdziwość charakterów w jej książce.

Powieść S. Babajewskiego „Kawaler Złotoj Zvezdy” — pokazuje jak bardzo istotną cechą charakteru człowieka radzieckiego jest twórcza aktywność. Twórcza bowiem inicjatywa mas ludowych była istotnym warunkiem zarówno zwycięstw gospodarczych pierwszych pięcioletek jak i zwycięstw orężnych ostatniej wojny. Zarówno powieść Babajewskiego jak i poświęcona temu samemu problemowi powieść B. Galina („W odnom nasielnom punkcie”) przyniosła obrazy odbudowy wsi radzieckiej po wojnie.

Kończąc swój przegląd Subocki podkreśla, iż w dużej mierze sukcesy swoje zawdzięcza autorzy udanych książek ideowej postawie. Niepowodzenia zaś (jak w wypadku Panowej i Twardowskiego) należy przypisać zajmowaniu przez pisarzy postawy bierno-obiektywnej, nie chcącej pojąć kierowniczych wytycznych rozwoju naszych czasów, uchylającej się od politycznych zadań literatury.

żlk.

PRZEGŁĄD PRASY

ESTESMY krajem ubogim w miesięczniki, zwłaszcza w miesięczniki krytyczno-literackie. Ten stan rzeczy wynika przede wszystkim z misernego niestętu bilansu naszej krytyki literackiej, która, jeśli jest, rezygnuje dziś najczęściej z wypowiedziania się w obszernych, umotywowanych pracach teoretycznych, zadowalając się mniej lub bardziej błyskotliwym felietonem lub artykułem. Myślę, że ten brak krytyki źle się w konsekwencji odbija na samej literaturze. Nie znaczy to, bym przypuszczał, iż między literaturą piękną i jej krytyką — czy to po prostu czy analizującą — istnieje jakaś bezpośrednia zależność. Tak chyba nie jest. Natomiast całość piśmiennictwa narodowego musi składać się ze wszystkich elementów, wszystkie one muszą istnieć po to, by po latach można było sprawiedliwie ocenić i wydać wyrok o literackiej epoce. Nie tylko Stendhal świadczy o literaturze Francji XIX wieku, ale i Sainte-Beuve, który go lekceważył. Nie tylko interesuje nas fenomen Baudelaire'a ale i naturalna oburzona reakcja jego mieszczańskich recenzentów świadczą o epoce.

Nasze braki w dziedzinie publikacji krytycznych, podobnie jak i w dziedzinie publikacji pamiętnikarskich, wspomnieniowych, epistolarnych są niewątpliwie. Myślę jednak, że nie będą trwały wiecznie — nikt bowiem nigdy jeszcze nie widział normalnej literatury, która składałaby się z kilkunastu lepszych czy gorszych wierszy i powieści.

Niewątpliwą zasługą miesięcznika „Twórczość” jest to, że pierwsza w Polsce ośmieliła się nazwać „miesięcznikiem literacko-krytycznym”. Czy jednak spełniona jest obietnica zawarta w drugiej części podtytułu? Mam przed sobą dwa ostatnie numery „Twórczości” za marzec i kwiecień. Przejrzynny je i orientujemy się w materiale.

Numer marcowy przynosi w dziedzinie krytycznej materiał raczej skromny. Nie liczę tu starannie obsłużonego działu recenzji z prac beletrystycznych, myśle o artykułach teoretycznych. Takich artykułów niestety nie ma, co pewnie nie jest winą Kazimierza Wyki, lecz zatrważającego stanu w dziedzinie teorii literatury po wojnie, gdy pokolenie starych krytyków bądź operuje pojęciami niewystarczającymi po kolejnych zdobyciach formalizmu i przeżywczej wąski formalizm badania socjologicznego, którego zwolennikiem zresztą nie jestem, bądź też odeszło do prac całkowicie laboratoryjnych i bibliotecznych poszukiwań. Pokolenie młodych badaczy wypowiada się raczej w artykułach polemicznych, w pismach tygodniowych. Jedyną pozycją teoretyzującą w marcowym numerze „Twórczości” jest obszerna nota — artykuł Bratnego na temat „poszukiwania nowego stylu” w prozie polskiej. Bratny analizuje m.in. dość obszernie prace Tadeusza Borowskiego i domaga się zdjęcia anatemy, rzucanej przez niektórych na nie tylko klasyczne środki, jakimi musi posługiwać się dziś współczesny pisarz.

W tym samym dziale not znajdujemy interesujące informacje L. H. Morstina o twórczości i życiu autora „Owego źródła” — Lope de Vegi.

Literacka treść numeru przedstawia się następująco — niezmiernie zajmujący i dobrze napisany fragment pamiętnikarskiej prozy Lucjana Rudnickiego: „W Łodzi — miście”, obejmujący wspomnienia młodego chłopca, jadącego z miasteczka do Łodzi, do terminu w kołcu ubiegłego stulecia. Proza Rudnickiego dostarcza czytelnikowi ogromnego materiału obyczajowego, socjologicznego, wskazuje na ważne procesy rozwarstwienia, pozwoli przysłusze autorowi np. powieści o Łodzi uniknąć tych błędów, które popełnił Reymont w „Ziemii obiecanej”, co jednak pozwoli sobie zauważyć, nie gwarantuję jeszcze, że taka powieść będzie lepiej napisana. W okresie przedwojennym proza pamiętnikarska budziła ogólne zainteresowanie („Pamiętniki chłopów”, „Pamiętniki emigrantów”, książki Wojciechowskiego) mimo, a może właśnie dzięki swojemu prymi-

tywizmowi literackiemu. Lucjan Rudnicki jest jednak daleki od tego typu prozy. Jego wspomnienia mają staranną formę literacką i są świadectwem świadomości człowieka pracy, który wiążąc się z ideologią postępową i wyzwoleniczą, awansował kulturalnie.

Pierwszy akt „Owego źródła” Lope de Vegi w przekładzie Morstina poprzedza pięknie napisane wspomnienie Juliusza Kleimera o zmarłym profesorze Stanisławie Lempickim. To byłoby wszystkie wybitniejsze pozycje numeru. Zwraca jeszcze w dziale sprawy i troski uwagę artykuł Anieli Mikuckiej „Czytelnictwo masowe”, gdzie systematycznie zostały przez autorkę omówione wszystkie składowe czynniki, literackie i „poleczne, tego niezmiernie skomplikowanego i jednocześnie pierwszorzędowego zjawiska.

Numer kwietniowy „Twórczości” jest raczej numerem poetyckim. Nie wszystko wydaje mi się tu na miejscu. Dobrze się stało, że możemy przeczytać „Traktat moralny” — piękny poemat Czesława Miłosza i nowe paryskie wiersze Jerzego Zagórskiego. „Twórczość” jest tym właśnie piśmem, gdzie rzeczy te winny znaleźć miejsce, wobec niechęci tygodniaków do druku takich utworów poetyckich, które nie spełniają postulatów treściowych i programowych. Te niechęci żywią obie strony literackiego obozu i pewnie dlatego pojęcie ogółu o poezji polskiej współczesnej jest tak mało dla niej pochlebne.

Nieporozumieniem też wydaje mi się druk w „Twórczości” artykułu Jana Wiktora. To sprawozdanie z autorskiej podróży po Śląsku, niewątpliwie bardzo interesujące jako dokument dla działaczy oświatowych, dla projektodawców ustawy bibliotecznej etc. powinno było raczej ukazać się w którymś z pism tygodniowych, gdzie zwróciłoby większą uwagę i byłoby w swoim działaniu skuteczniejsze. Kolejno zamieszczone wiersze Jana Koprowskiego i Eugeniusza Zielińskiego, i znowu myślę, że wiersze te mogłyby pozostać poza miesięcznikiem. Inaczej rzecz się ma ze zbiorowym wystąpieniem poetów oflagu — to pozwala właśnie przejść czytelnikowi ponad techniczną niedoskonałością i banalną poetycznością tych utworów i potraktować je jako dokument socjologiczny. Jak zwykle bogaty dział recenzji z nowo wydanych prac zamyka kwietniowy numer „Twórczości”. W sumie widzimy więc, że druga część podtytułu jest jeszcze zapowiedzią, choć nieraz zdarzyło mi się czytać w „Twórczości” ciekawe teoretyczne artykuły o literaturze (Lukas o Mannie, Kubacki o Mauriacu — wymieniam te, które pamiętam w tej chwili). Ważne byłoby, jak myślę, by „Twórczość” wzmogła selekcję w zakresie utworów poetyckich, by zdobyła obfity materiał krytyczny i teoretyczny — może by tu sięgnąć do przekładów? — by rozbudowała jeszcze obszerniej dział recenzyjny, najsumienniejszy prowadzony w Polsce, by nie lekka się „elitarności” — w końcu jest to przecież jedyny, obok „Zeszytów wrocławskich”, poważny miesięcznik literacki w kraju.

ph.

TREŚĆ NR 18:

Stefan Żółkiewski — Rozważania pierwszomajowe z zakresu teorii kultury i sztuki; Aleksander Litwin — Wolność, równość, humanizm; Jerzy Plechanow — Sztuka a życie społeczne; Jean Marcenac — Mała dziewczynka z Warszawy; Leon Gomołicki — Proza Puszkina; Anna Kamińska — Wiersze; Juliusz Żulawski — Pod czarnym niebem; Andre Verdet — Buchenwald; Jan Kott — Próba realizmu; Ryszard Matuszewski — Spowiedź dziecicy wieku Lambertów; Adolf Sowiński — Wiersze Giesga; Janina Preger — Powieść o Ziemiach Zachodnich; Przegląd prasy; Noty.

KRONIKA RADZIECKA

W lutowym zeszycie radzieckiego, literackiego czasopisma „Nowy mir” Leon Subocki zamieścił ciekawy, pełen informacji przegląd osiągnięć prozy radzieckiej w roku 1947.

Autor w publicystycznym bądź co bądź artykule nie mówi rzecz jasną wszystkiego co można powiedzieć o literaturze. Na wstępie określa głównie zadanie prozy swego kraju, jako dążenie do pokazania w całej pełni nowego, radzieckiego człowieka i jego cech moralnych. Z tego też punktu widzenia rozważa konkretne powieści wydane w zeszłym roku.

Subocki wyodrębnił trzy centralne problemy, które zhałaszy wyraz w tych powieściach. Po pierwsze w ramach tematyki wojennej próby pokazania tego wszystkiego co jest przejawem nowego w społeczeństwie radzieckim, co wskazuje na kierunek rozwoju radzieckiej społeczności rzeczywistej. Po drugie w ramach tematyki powojennej odbudowy stary problem stosunku jednostki i społeczeństwa z koniecznością na nowo rozwiązanym w nowych warunkach urzeczywistnienia socjalizmu. Po trzecie wreszcie próba pokazania twórczej aktywności jako organicznej, najistotniejszej cechy charakteru przodujących radzieckich ludzi.

Subocki omawia szczegółowo tylko najwybitniejsze, nieliczne powieści. Podkreśla jednak wyraźnie, iż rok 1947 przyniósł znaczny ilościowy wzrost radzieckiego powieściopisarstwa, wymienia nazwiska piętnastu wyróżniających się debiutantów, zaznaczając, że było znacznie więcej mniej udanych debiutów.

Wylizone przez mnie wyżej trzy centralne zagadnienia traktuje Subocki jako istotną zdobycz powieści zeszłego roku, jako nowość, jako śmiałą próbę uchwycenia tego co istotnie aktualne w rzeczywistości społecznej Związku Radzieckiego.

Niezależnie od tego podkreśla w ogóle bogactwo tematyki prozy 1947 r. Wylizuje tematy powrotu do pracy pokojowej, odbudowy kraju, problemy rodziny naruszonej przez wojnę, temat walki zagranicznych robotników przeciw kapitalizmowi i szereg innych.

Na czoło swego literackiego bilansu wysuwa Subocki dwa wydarzenia: pojawienie się dużej powieści Erenburga „Nawałnica” której wyjątki drukowała także „Kuźnica” oraz dwie pierwsze księgi trylogii historycznej Fedina poświęconej dziełom Pierwszej Wojny Światowej w Rosji w przededniu Rewolucji Październikowej.

Obok tych artystycznych wydarzeń wymienia jeszcze Subocki sześć tomów głosnych już wspomnień partyzanckich, napisanych przez wybitnych uczestników i wodzów walk na tyłach wroga (wśród nich przełożona na język polski książka Linkowa).

Lecz to co Subocki uważa za istotne cechy sytuacji społecznej, z której powieść współczesna wyrasta — to jest przede wszystkim nowość, odrębność tego etapu społecznego rozwoju, który nad radziecką przeżywa po wojnie i który domaga się swego artystycznego wyrazu.

W ramach tych zadań stwierdza Subocki reasumując rozważania innych krytyków — iż powieść w roku 1947 nie potrafiła dać idealnej i artystycznie pełnokrwistej obrazu głównego bohatera naszych czasów — bolszewika.

Czy tym tematem prozy zeszłego roku ciągle jeszcze była miniona wojna. Wśród książek, które postawiły sobie za zadanie uchwycić wzrost nowych elementów świadomości społecznej charakterystycznych dla nowego etapu życia i wytyczających kierunek rozwoju rzeczywistości społecznej na przyszłość wymienia Subocki na pierwszym miejscu literacki i pełen patosu romans Gonczara „Znamienosc” (Chorążowie). Ceni w tej powieści krytyk radzieck obraz człowieka nowej, kolchozowskiej wsi. Jego pełną charakterystykę, którą daje Gonczar kreśląc

losy wojenne swego chłopskiego bohatera Chomy Chajckiego. Nowy typ patriotyzmu, pozbawionego szowinistycznych elementów, nowy typ humanistycznej kultury socjalizmu został przez Gonczara pokazany z dużą trafnością, siłą i nowością w jego powieści.

Nie udało się natomiast analogiczna próba Konstantemu Simonowowi, (dobrze znanemu w Polsce ze swoich powieści i sztuk teatralnych) w romansie „Dym otczestwa”. Przyczynę niepowodzenia widzi Subocki w koncepcji artystycznej, w kompozycji powieści, której akcja rozgrywa się w ciągu 18 godzin. Godziny te wypełnione zostały abstrakcyjno-deklaracyjnymi rozważaniami bohatera, które brzmią fałszywie i płytko.

Podobnie nieudana okazała się próba zrealizowania cenniejszego w Rosji poety Twardowskiego „Rodina i czuźbina”. Są to jak chciał sam autor „zapiski z polowego notatnika”. Zapiski te dalekie od skończonych formy artystycznej, pozbawione są też ideowej wartości. Wyrażają pogląd na świat, psychologie typowego przedstawiciela patriarchalnego chłopstwa dawnej wsi, którego świat zamykał się w opłotkach własnej sadyby.

Subocki widzi w książkach Twardowskiego nieoczekiwane odbicie w literaturze przedwozowej, przedrewolucyjnej wsi, gorzej wyraz przedwozowej etapu w rozwoju sztuki piarskiej. Są ten sformułowało wielu innych krytyków w ciągu roku 1947 w swoich recenzjach (por. np. Literaturnaja Gazeta).

To też Subocki, z dużą siłą przeciwstawia Twardowskiemu debiut M. Bubiennowa „Bielaja bereza”.

Bubiennow stworzył prawdziwą postać chłopca obywatela nowoczesnego społeczeństwa, wyraził nowego poglądu na świat — wyraził uczucie i dążeń społecznych istotnie nowego socjalistycznego typu. W odróżnieniu od powieści Gonczara książka Bubiennowa pokazuje swego kolchoźnika w warunkach pokojowej, powojennej odbudowy.

Subocki zdaje sobie sprawę, że te próby beletrystycznego pokazania co jest nowego, odmiennego od dawnego w patriotyzmie, postawie wobec życia, świadomości człowieka zrodzonego przez nowe socjalistyczne społeczeństwo muszą znajdować właściwy wyraz artystyczny. I podkreśla, iż niestety słuszne zamierzenia ideowe młodych pisarzy często są w sprzeczności z ich środkami artystycznymi. Niedolężne obrazy, schematyzacja, niedostatek indywidualnych rysów charakteru, brak plastyki, język szary i płaski, poszarpana kompozycja, nadmiar naiwnej retoryki — to są braki także „Chorążych” i „Bielaj brzozy”.

Zagadnienie stosunku jednostki do zbiorowości nie obojętne jest dzisiaj również dla literatury Zachodu. Wiemy jak wiele uwagi poświęcają mu francuscy egzystencjaliści, głoszący absolutnej samotności człowieka, wewnętrzną nieprzenikalnością indywidualnych we wnętrzu światów, głoszące rozpacz i samotność pustelników.

Przed pisarzami radzieckimi stało to zagadnienie szczególnie wyraźnie. W społeczeństwie socjalistycznym, stopniowo zanika przeciwieństwo jednostki i zbiorowości. Konkretny wyraz tego procesu jest bodaj najaktualniejszym problemem dla prozy radzieckiej. Niewątpliwie nowy typ psychiczny, który kształtował się w wyniku tego procesu w ciągu pierwszych nawet dziesięcioleci lat po rewolucji był daleki od upowszechnienia. To tylko nieliczni tak kształtowali swoją psychikę. Lecz dziś ta nowa struktura duchowa charakter, świadomość, kulturalny profil stał się udziałem wielu szarych przedstawicieli społeczeństwa radzieckiego, świadczą o tym masowy heroizm żołnierzy radzieckich w duchu nowego socjalistycznego heroizmu stosunku jednostki i zbiorowości układa się

Środki nieludzkie, ale niezbędne

Organ Sotulisa „Elefteria” w artykule, omawiającym egzekucje, dokonywane na jeńcach i zakładnikach, pisze: „Rozstrzeliwanie więźniów do niewoli partyzantów i zakładników, wybranych spośród ludności na terenach, gdzie mają miejsce akty sabotażu — jest mil-



czaco aprobowane przez władze amerykańskie. Chodzi tu o nieludzkie, niestety jednak, całkiem niezbędne środki dla doprowadzenia wojny do właściwego końca.”

Dotychczas tylko Niemcy byli równie cyniczni.

4.000.000 : 148 = 27000

Kongres ujawnił, że USA wydały na „cele polityczne” we Włoszech 4 miliony dolarów ze specjalnych dyskrecyjnych kredytów poszczególnych resortów administracji. Wynika z tego, że wysunięty przez senatora Styles Bridges'a projekt, który przewiduje finansowanie reakcji europejskiej dla walki z komunizmem oraz plan Dullesa, proponujący stworzenie politycznego wywiadu USA dla współpracy z europejskim antykomunistycznym ruchem podziemnym, znalazły się już w stadium realizacji. C. B. Baldwin, kierownik



kampanii wyborczej Wallace'a wystosował depeszę do przywódców Kongresu, ostro piętnując wydawanie pieniędzy skarbowych na tego rodzaju „polityczne cele” i domagając się ujawnienia wszystkich szczegółów „bezpłodnego usiłowania przekupienia świata dla poddania go pod dyktando amerykańskich monopolii”.

Ponieważ demokraci chrześcijańscy uzyskali w senacie 148 miejsc, każdy mandat włoski wypadł Amerykanom stosunkowo tanio, kosztował ich tylko 27.000 dolarów.

Samokrytycyzm

Szef brytyjskiego zarządu okupacyjnego w Niemczech — gen. Robertson przemawiając w parlamencie Westfalii i Północnej Nadrenii, ostrzegał m. in. Niemców przed dżentelmenami, którzy z demokracją na ustach i pałką za plecami „chcą drugim „zabierać wolność”...



Bardzo piękne i trafne słowa. Obserwując to co się dzieje na bliższym i dalszym Zachodzie i czytając prasę anglosaską, — wiemy doskonale, co sądzić o tych „dżentelmenach, którzy z demokracją na ustach i pałką za plecami” pragnęliby pozabawić wolności państwa i narody.

Przykłady: Grecja, Włochy, Chiny i t.d.

b.d.

Wolność przekonań w Anglii

Pierwszym pracownikiem państwowym, który ma otrzymać dymisję w ramach czystki antykomunistycznej jest panna George, sekretarka prywatna ministra oświaty Tomlinsona i jednocześnie sekretarka egzekutywy związku pracowników państwowych. Przed 10 dniami otrzymała ona zawiadomienie, iż minister zdecydował, że istnieje prima facie podstawy do mniemania, iż jest ona osobą,



której kwalifikacje do pracy w wydziałach tajnych mogą być kwestionowane. W swej odpowiedzi: miss George odmawia potwierdzenia czy też zaprzeczenia twierdzeniu, jakoby była członkiem partii komunistycznej. Związek, do którego należy miss George, przyjął rezolucję, w której stwierdza, że akcja wymierzona przeciw p. George, jest „w najwyższym stopniu niegodna” i w której wyraża jednocześnie zaufanie do lojalności i niewinności p. George.

bs

Autodate w mieście Colombus

W Stanach Zjednoczonych, w mieście Colombus (Ohio) obywatel Frank Hashmall (lat 29) oświadczył w rozmowie, że jest komunistą. Chociaż był poza tym człowiekiem o powszechnie uznanych walorach, grono ludzi bogobojnych postanowiło dać mu dobrą naukę. Przez kilkanaście dni telefon dzwonek pogroźkami, po czym dokonano napadu na mieszkanie Hashmalla i poczęto je grun-

townie plądrować. Poszkodowany zwrócił się do policji, ale ta kategorycznie odmówiła mu swej pomocy. Korzystając z tego, grono ludzi bogobojnych h spalił „roczyszcze” dzieła marksistowskie w mieszkaniu Hashmalla, jak o tym wśród wielu pochwał dla samego czynu donosi prasa miasta Columbus. Policja poradziła Hashmallowi, aby we własnym interesie czym prędzej wraz z rodziną miasto opuścił.



Ta wiadomość o przejawach tolerancji amerykańskiej zaczerpnięta jest z paryskiego tygodnika „Action”, Nr 185 z datą 14—20 kwietnia 1948 r.

rkm

Gospodarka mandatowa na Pacyfiku

Jak wiadomo, marynarka amerykańska administruje szeregiem wysp na Pacyfiku, oddanych pod opiekę Stanów Zjednoczonych. „Seapanorama” oficjalny dziennik amerykańskich sił morskich, donosi ostatnio w urzędowym obwieszczeniu, że są do nabycia tereny uprawne na wymienionych wyspach. Aby zachęcić ewentualnych reflektantów, „Seapanorama” dodaje, że zostały ustalone urzędowe stawki robocze, a mianowicie płaca dla robotnika rolnego niewykwalifikowanego wynosi od 5 do 7 centów za godzinę, płaca zaś dla robotnika wykwalifikowanego od 9 do 11,5 centów za godzinę. Jeżeli jednak tubylcy odmówili pracy według tych stawek, to — jak czytamy dosłownie w urzędowym obwieszczeniu — „na tereny mandatowe zostaną sprowadzeni robotnicy zamieszkałości południowej i mieszkańcy Okinawy”.



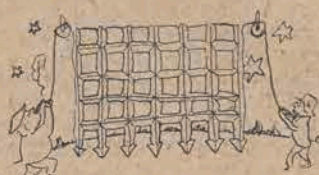
Obwieszczenie, podpisane przez wysokiego komisarza dla mandatowych wysp na Pacyfiku, zachęca samych mieszkańców tych wysp oraz obywateli i poddanych amerykańskich do korzystnego w tych warunkach nabywania terenów uprawnych. Następuje jednak zastrzeżenie, że oferty co do organizacji rolniczych przedsiębiorstw handlowych na wielką skalę nie będą przyjmowane.

Czyżby ten zakres interesów został już wcześniej zawarowany w drodze cichego przetargu?

rkm

Spór o ojcostwo

Właściwie już nie ma sporu, bo go rozstrzygnął „Le Monde”. Do „Le Monde” można mieć zaufanie, a „Le Monde” twierdzi, że Churchill nie jest ojcem, że został wyprzedzony. Dnia 2 maja 1945 roku w swoim orę-



dziu do narodu niemieckiego książę Schwerin von Krosigk, minister spraw zagranicznych w rządzie Doenitza, głosząc konieczność krucjaty antybolshewickiej, użył wyrażenia: „Der eiserne Vorhang”. Co znaczyło: żelazna kurtyna. Więc Churchill był tylko plagiatorem...

mm

Germanica

Wiedeński tygodnik „Die Furche” zamieścił ciekawą korespondencję z Niemiec swego monachijskiego przedstawiciela E. Evanszela. Warto przytoczyć z niej kilka wyjątków.

„Wszystko, co się opowiada o SS, o Gestapo i o zbrodniach nazistowskich pozostaje wciąż jeszcze propagandą”. Kto się znajdował w obozie koncentracyjnym, był z całą pewnością przestępcą, a nigdzie nie traktuje się przestępców w inny sposób. Prawdziwe ofiary, to przetrzymywani obecnie w obozach internowania Niemcy denazyfikowani. Displaced persons? Lepiej nie powtarzać, co się o

nich mówi. Oni są odpowiedzialni za istnienie czarnego rynku, oni są winni wzrostowi przestępczości i braku bezpieczeństwa. Alifanci?... chcą wyniszczyć naród niemiecki głodem i w ten sposób zmniejszyć ilość Niemców o 20 milionów, których jest według nich za dużo...



Niemcy wynaleźli bombę atomową, ale nie używali jej z przyczyn humanitarnych — Führer nie miał odwagi na wydanie rozkazu jej użycia...

Nawet w wyższych klasach szkół większość uczniów nie ma pojęcia co to jest konstytucja...

Pisane w marcu 1948 roku!

mm

Książki Piwowarczyk materialistą dziejowym...

Ks. Jan Piwowarczyk opublikował w „Tygodniku Powszechnym” (Nr 10/155) artykuł krytyczny o „Manifestie Komunistycznym” ze stanowiska oczywiście antymarksistowskiego. Między innymi pisze tak:

„Manifest Komunistyczny wywarł wpływ na dzieje większy, niż najbardziej obiektywne i najlepiej naukowo uzasadnione dzieła filozofii i socjologii... (Marks i Engels) wzywali do walki rewolucyjnej. Wiemy, że znaleźli posłuch. Wielkie organizacje marksizmu od stu lat prowadzą walkę rewolucyjną, a gdzie ją zakończyły zwycięstwem, tworzą zupełnie nowe państwa (tzn. zapewne o nowych stosunkach społeczno-gospodarczych! — E. N.) i zmieniają całą ideologiczną nadbudowę...”

I dalej: „Nie byłoby Manifestu Komunistycznego, gdyby nie było wyzysku pracy w przemyśle kapitalistycznym. Nie byłoby stanu „wiecznej rewolucji” w ciągu stu lat, gdyby społeczeństwa były od razu weszły na drogę likwidacji tego wyzysku (? E.N.).

I na zakończenie artykułu: „Marksizm nie spada na ziemię, jak „deus ex machina”. Był skutkiem. Miał przyczynę. To trzeba pamiętać, jeśli się chce zrozumieć genezę Manifestu Komunistycznego...”



Pomijmy zastrzeżenia ks. Piwowarczyka co do obiektywizmu i naukowości „Manifestu Komunistycznego” oraz jego „utopijne” sugestie o możliwości dobrowolnego „wejścia społeczeństwa na drogę likwidacji wyzysku kapitalistycznego”. Wywody autora — odwracając jedynie ich kolejność — sprowadzają się faktycznie do następującego stwierdzenia:

Wyzysk kapitalistyczny zrodził ideę rewolucyjną, której wyrazem był „Manifest Komunistyczny”. Idea rewolucyjna z kolei zrodziła wielkie „organizacje marksizmu”, które „stworzyły nowe państwa”.

Ale — jak wiadomo — wyzysk kapitalistyczny był i jest rezultatem kapitalistycznych stosunków produkcyjnych! Ergo: Stosunki produkcyjne kształtują myśl, nadbudowę ideologiczną. Z kolei idea wpływa na swą podstawę materialną, zmienia stosunki produkcyjne, tworzy nowe państwa o nowym układzie społeczno-gospodarczym.

Wszystko to jakoś podobne jest do magicznego zdania: „Był twórcy świadomość”. Czy nie tak, proszę wielbego księdza?

en

Wazelina w „Dzienniku Łódzkim”

Jakiś niepodpisany wazelinarz zarzuca w „Dzienniku Łódzkim” Kottowi, że w wywiadzie udzielonym dla „Głosu Anglii” odważył



się napisać, że, o zgrozo! zjadł w kopalni węgla dobry obiad, Oxford i Cambridge bardzo mu się spodobały, najważniejszym problemem dnia jest kwestia mieszkań i zobaczył w

Anglii bezustanny wysiłek podnoszenia produkcji.

Jest rzeczą oczywistą, że pisarz po to wyjeżdża za granicę, aby poznać obcy kraj a nie powtarzać wyobrażenia o obcych narodach redaktorów „Dziennika Łódzkiego”.

Ponieważ jednak niepodpisany wazelinarz zapytuje obłudnie, czy te wszystkie wypowiedzi sfabrykował współpracownik „Głosu Anglii”, czy też rzeczywiście Kotta odzłapła mgła londyńska, odpowiadamy, że rzeczywiście Kott otrzymał za pochwały dla Anglii wspaniałe tereny na biegunie południowym i zamierza tam osiedlić redakcję „Dziennika Łódzkiego”.

rkm

Dialektyka i szkolna rzeczywistość

Do świeżo wydanego (Trzaska, Ewert i Michalski, Warszawa 1948) wyboru „Publicystyki pozytywizmu” w opracowaniu Eugeniusza Sawrynówicza i Teofila Wojeńskiego dołączony jest komentarz rzeczowy i słownikowy. W komentarzu tym czytamy:

„Dialektyczny (gr) — wg Hegla był rozwinięciem dialektycznym, tj. przechodzącym przez trzy fazy: tezy, antytezy i syntezy, z których każda jest niezbędnym ogniwem rozwoju. Filozofia dialektyczna nazywa się także filozofią opartą na rozumowaniu nie łączącym się z rzeczywistością” (podkr. moje).

Otwieram pierwszą kartę książki: „Pismem Min. Oświaty (Nr VI Oc — 404/47 z dnia 18 września 1947 r.) zawierzono do użytku szkolnego jako lektura uzupełniająca dla liceów ogólnokształcących wszelkich typów oraz jako książka polecona do bibliotek licealnych i nauczycielskich”.

rkm

Zasługi wydawców

Zaczynają się powoli urzeczywistniać wydawnicze plany w obrębie literatury polskiej. Rozpoczęto wydanie zbiorowe Żeromskiego („Czytelnik”), Orzeszkowej („Wiedza”), Dygasińskiego („Wiedza”). Wydawcy obiecują Mickiewicza, Prusa („Książka”), Sienkiewicza (Państw. Inst. Wyd.), Wyspiańskiego (PIW). Bądźmy więc cierpliwi.

Natomiast tej cierpliwości nie należy obawiać, gdy chodzi o wydawnictwa z zakresu literatury europejskiej. Praca w tym kierunku idzie jak gdyby bezplanowo, nie uwzględniając hierarchii potrzeb. Wciąż brak klasyków, a wśród nich szczególnie pokrzywdzona jest rosyjska literatura XIX stulecia. Widać już uśmiech zadowolenia na twarzy prasowych sprawozdawców pism emigracyjnych, gdzie niedawno radzono mi, bym przyjechał do Londynu — tam znajdzie klasyków w oryginałach rosyjskich i w licznych przekładach angielskich.

W sprawie rosyjskiej literatury nie zachowano hierarchii potrzeb. Wydawcy zajęli się prawie wyłącznie przekładami z nowocześniejszej prozy rosyjskiej, pomijając niemal całkowicie Turgieniewa, Tołstoję, Leskova, Sałtykowa-Szczedryna, Dostojewskiego, Gonczarowa, Czechowa etc. Jeden Gogol okazał się bardziej pociągający dla wydawców, o którym mieliśmy „Marwe dusze” („Książka”), a



niedawno Jerzy Wyżomirski wydał tom przekładów opowieści Gogola pod tytułem „Notatki myśliwego”, które z literackiego punktu widzenia są wspaniałym prototypem nowoczesnej prozy amerykańskiej polecanej nam niekiedy jako wzór do naśladowania. Gdyby wydać opowiadania Turgieniewa, „Lady Makbet mceńskiego powiatu” Leskova i inne utwory rosyjskie XIX wieku (i nie tylko rosyjskie — np. Maupassant), to okazałoby się, że najlepsze przykłady literatury światowej artystycznie i godnej jednocześnie człowieka, znaleźć można w poniekąd zapomnianych przez wydawców starych książkach.

ph

KSIAŻKI NADESŁANE

Stanisław Lorentz: Natolin, nakład. Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, Warszawa 1948, str. 340.

E. Sawrynówicz i T. Wojeński: Publicystyka pozytywizmu (Biblioteka Autorów Polskich Nr 3), nakład. wydawn. Trzaska, Ewert i Michalski, Warszawa 1948, str. 227, zł. 480.

Dr. Stefan Bączkowski: Przedsiębiorstwo państwowe (charakterystyka prawna), nakład. wydawn. „Trzaska, Ewert i Michalski, Warszawa 1948, str. 116.

Deotyma (Gadwiga Łuszczyńska): Branki w jasyrze, oprac. Stefania Dracko, nakład. Spółdz. Wydawn. „Chłopski świat”, Warszawa 1948, str. 495.

Jan Rudy: Wino, miód pitny, oset owocowy w każdym domu z własnych surowców, nakład. Chłopskiej Spółdzielni Wydawniczej, Warszawa 1947, str. 94.

Józef Wojtyła: Zasady polityki handlowej i Organizacji obrotu, nakład. Chłopskiej Spółdzielni Wydawniczej, Warszawa 1947, str. 115.

Żelazne Kompanie B. Ch., praca zbiorowa pod redakcją Józefa Niecki i Marii Szczawińskiej, nakład. Spółdz. Wydawn. „Chłopski świat”, Warszawa 1948, str. 152.

Dr. Tadeusz Klimowicz: Psychologia dziecka wiejskiego na tle psychologii rozwoju dzieci i młodzieży, nakład. Spółdz. Wydawn. „Chłopski świat”, Warszawa 1948.

Weronika Tronaczowska — Ozarkowa, Kazimierz Maj-Kajada Piotr Szelepienny, nakład. Chłopskiej Spółdzielni Wydawniczej, Warszawa 1948 str. 127.

Józef Niecki: P. S. I., w demokracji ludowej, nakład. Spółdz. Wydawn. „Chłopski świat”, Warszawa 1948, str. 64.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy” Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik”

REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42

CENA OGŁOSZEŃ: Za 1 mm na 1 szpalte 40 złotych

WARUNKI PRENUMERATY:

Miesięcznie zł 80.—; kwartalnie zł 240.—; półrocznie zł 480.—; rocznie zł 960.—

Należność za prenumeratę należy wpłacać do P.K.O. konto VII-567 „Prenumerata Kuźnicy”

— 61896 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, Żwirki 2.